№ 37. Warszawa, dnia 3 (15) Września 1883 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.- Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50

Półrocznie . . . rs. 5

Rocznie. . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI.

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25

Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50

Rocznie . . . . . rs. 5

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. **3.**

KASZUBI.

Skreślił

WIKTOR CZAJEWSKI.

(Dalszy ciąg.)

Z rankiem następnym „przedanki" otwierają komorę, ubierają pannę młodą i zajmują się uprzątnieniem sypialni. Tymczasem do chaty schodzą się wczorajsi goście, których młody przyjmuje wódką i chlebem z masłem. Ona zaś orzechami, a w zamian otrzymują po parę groszy. Potem następuje wieczerza i zabawa do nocy.

Na trzeci dzień młody osobiście zaprasza na obiad bliższych krewnych, wraz z którymi już i zamężne jawią się kobiety.

Obrządek ten podał ze szczegółami pastor kaszubski Larek w języku niemieckim.

W wigilią Trzech króli znów, tak jak i w wielu innych okolicach, obchodzi się wieczór powszechnie „szczodrakiem" zwany, w którym z powinszowaniami obchodzą pastuchy, śpiewając pieśni do używanych w Wielkopolsce podobne.

Przed Nowym rokiem, a raczej w wigilią, Kaszubi zwykli czynić wróżby. Aby się dowiedzieć, które z rodziny szczęśliwie rok przeżyje, stawiają za pomocą naparstka gromadki z mokrego piasku, nadając im rodzinne imiona, która z nich rozsypie się w ciągu nocy, ta niezawodnie osoba umrze. Ma się rozumieć, że najczęściej wróżby te się nie sprawdzają. W niektórych wsiach w Prusiech niedziela 3 przed św. Janem stanowi bardzo charakterystyczną uroczystość. Już same uprzątanie i czyszczenie chat świadczy o tej ważności. Wreszcie przystrajają jeszcze je pięknie zielenią, tak samo jak u nas na Zielone świątki.

Zaraz rano młodzi z wioski zbierają się na łące, gdzie zabawiają się początkowo wyścigami a potem rozlosowują kto z kim w dzień świętojański ma tańczyć.

Po południu trwa dalej ta zabawa, z tą jednak różnicą, że przybiera zupełnie odrębny charakter. Jest to tradycyonalne tracenie kani, którą przynosi chłopiec tytułem gajowego obdarzony i przywiązuje przy wbitym w ziemię słupku.

Słudzy samozwańca *starosty* czyli sołtysa, rozpędzają tłumy koło delikwenta zebrane, i wtedy on rozpoczyna zabawną przemową, zakończoną strasznemi groźbami.

Po skończonej oracyi kat ścina kanię, wywołując zarazem przestrogę:

> Moje miłe matki, (¹)
> Strzeżcie swoje dziatki —
> Aby nie przyszły pod katowskie ręce,
> Bo to nie ja tracę—ale prawo traci.

Ściętą kanię grzebią w ziemi, pal zaś do którego była przybitą rzucają do wody lub w gęstwinie lasu. (²) O powstaniu tej szczególniejszej zabawy nie przechowała się żadna tradycya.

W wigilią świętego Jana w nocy, Kaszubi na ustronnem miejscu zapalają *sobótki*, które odbywają się w tymże porządku co i u nas. Zwyczaje te jednak powtarzają się przeważnie u Kaszubów

(¹) Wiersz ten przytaczam po polsku.

(²) Szczegóły te czerpię z Hilferdinga „Ostatki Sławian na południowym brzegu Baltyckiego morza" (Petersburg 1862 r.). Streszczona ta praca w „Przeglądzie Europejskim" z 1862 r. T. II, str. 223.

w Prusiech Zachodnich; a zamieszkałych nad brzegami morskiemi, nie znajdujemy ich, co najlepszem dowodem, że zwyczaje te dostały się tu z Polski.

U Kaszubów istnieją dotąd bardzo dawne podania o olbrzymach, których tu nazywają: „stołym”, „stolim”, „stolem” lub tem podobne stosownie do wymowy.

Olbrzymi ci w podaniach ludowych w dwojakiem występują świetle, raz są to nasi na tej ziemi poprzednicy, obdarzeni większą od nas siłą, lecz za to słabsi rozumem i ci giną podczas potopu.

Drugi raz są to albo istoty złe, albo potężne, których głównym celem jest czyhać na ludzi i ich ciałami się żywić. To ostatnie pojęcie potęgi i złości nieludzkiej, sprawia, że w niektórych okolicach lud jednoczy z nimi złowrogich Krzyżaków, lub też ich za następców olbrzymów uważa.

W przeciwieństwie do tych olbrzymów, znajdują się i inne podania charakteryzujące przeciwny zupełnie żywioł. Są niemi małe łagodne karliki, które zamieszkują w ziemi. Nazwane u Kaszubów *Krośniauta* u Słowieńców i Kabatków, noszą tytuł *dremni* lub drebni (drobni).

Przemieszkują oni w jamach pod podłogami chat lub gospodarskich budynków ludzkich, jak gdyby nie mogli się obejść bez człowieczego sąsiedztwa.

W wyobraźni ludu przybierają ci karli różne postacie, to siwobrodych starców, to małych dzieci, to znów namiętnych kochanków, jednem słowem stanowią całe społeczeństwo. Wyprawiają też sobie wesela z tańcami i muzyką, do czego znów zwykle obierają miejsce pod podłogą karczmy. Często w nocy opuszczają swoją kryjówkę i wychodzą z jam do izby, gdzie z niesłychaną radością witają zawsze kołowrotek i przędą na nim. Istnieje nawet podanie, że dobrze jest obdarzać ich od czasu do czasu mlekiem postawionem w łupinie orzecha, gdyż wtedy bardzo są zadowolone, za co wywzajemniają się gospodarzowi, pielęgnując jego dobytek. Pogniewawszy się zaś wynoszą mu zasypaną żywność i w ten spoób przyśpieszają upadek inwentarza domowego. Jeżeli zaś usługa uczyniona im okaże się więcej pożądaną, wtedy chojność karzełków staje się coraz znaczniejszą, gdyż przynoszą gospodarzowi nawet woreczek pieniędzy. Nie wiemy czy i w tych, tak trudnych czasach, chojność karzełków nie ustała, to pewne, że jak utrzymuje podanie, można taki woreczek otrzymać od nich tytułem wykupu, zdzierając któremu z głowy czerwoną czapeczkę, do której świat ten podziemny wielką przywiązuje wagę.

Podobnież jak tatrzańskie „Dziwożony” wykradają oni niechrzczone dzieci, jeżeli te są źle strzeżone, lub stosownemi nie zabezpieczone sposobami, a podrzucają swoje niedojdy. Wykradzione dzieci służą im potem za księży, do której to godności widać biedne karliki nie mają prawa.

Upior znany jest Kaszubom pod nazwą *Wieszczy*. Różni się on jednak nieco od naszego upiora, a mianowicie u Kaszubów staje się ten człowiek upiorem, który rodził się w tak zwanym czepku.

Najlepszem lekarstwem jest spalić czepiec a popiołem tym nakarmić dziecko.

Według jednych „wieszczy” lub „wieszcza” za życia niczem od reszty nie różnią się ludzi; inni natomiast czarodziejskie przypisują im zdolności.

Główną odznaką upiora, jest to, że po śmierci zachowują na twarzy rumieniec, a złożony w grobie poczyna gryźć sobie ręce i ciało, gdzie tylko dostać może, skutkiem czego krewni zapadają w chorobę i umierają. Skoro upior już wszystkich ze swojej rodziny wygryzł, wtedy wstaje nocą z mogiły, włazi na dzwonicę i dzwoni, a ktokolwiek tylko ten dźwięk usłyszy — umrzeć wkrótce musi.

Jedynym sposobem na zniszczenie tej fatalnej siły, jest odkopawszy ciało obciąć głowę łopatą. Ludziom chorym z powodu upioru, pomaga kilka kropel krwi jego. Tak pierwsze jak i drugie z tych sposobów do niedawna jeszcze używano, pomimo całej surowości prawa.

I nasza zmora istnieje tutaj pod nazwą *mory*, jest to dziewczyna, która ociemniawszy, dusi wybrane ofiary. Ma także moc przerzucania się we wszystkie żywotne i nieżywotne postacie.

Nieraz wieczorem napada Kaszuba siedzącego w swojej izbie jakaś nieokreślona trwoga, to *mora* tak go straszy.

Aby uwolnić się z pod tej opieki, potrzeba schwycić ją koniecznie, zatknąwszy wpierw wszystkie szpary w domu. Skoro słońce wejdzie, zmora jest ujętą i nie wraca więcej. Dobrze też na piersiach położyć powróz, lub też rzemień pod poduszkę.

Powieści i klechdy kaszubskie nie są oryginalnemi, po większej części zaczerpnęli je z niemieckiego, a świat w którym się bajdy obracają, jest w czarodziejskie przybrany szaty. Nawet sama skała, która stanowi punkt zborny dla tych indywiduów tajemniczych ochrzczona jest niemieckim mianem „Bloksbergu”. Tylko w okolicach z Wielko-polską graniczących można napotkać podania o Łysej górze.

Nie mogę dłużej zatrzymywać się nad temi zwyczajami ludowemi u Kaszubów, gdyżbym przekroczył granicę zwykłego artykułu, to też o ile możności w skróceniu powiem, że jak i u naszego ludu tak samo i tam istnieje owo zdejmowanie uroków z dobytku, zbieranie w nocy świętojańskiej ziół bardzo pomocnych dla ludzi i bydła, szczególniej od czarów, które tu zadają różni ludzie z piwem, chlebem, lub wódką.

Istnieją tu również podania, że tęcza pije wodę i błota z ziemi, a zasób ten przelewa później w chmury z czego deszcz powstaje. Wreszcie to co u nas do kukułki, tam do bociana przywiązują, utrzymując, że jeśli gospodarz nie ma pieniędzy, kiedy bocian przez jego dach przeleci, wtedy nie będzie ich mieć przez rok cały. Bardzo charakterystycznem zabobonem jest mniemanie, że gdy sąsiad posiadający pasiekę umrze, właściciel takiejże powinien iść do ula, zastukać w niego i powiedzieć: „Pszczółki, sąsiad mój umarł,” bo gdyby tego nie uczynił, wszystkie pszczoły niezawodnie od niego by się wyniosły.

Skreśliwszy w tych kilku ogólnych rysach charakter i usposobienie Kaszubów, przejdę do ich literatury. Wprawdzie nie będę o tem obszernie mówił, bo w rzeczywistości i nie ma o czem. Z dawnych czasów pozostała tu modlitwa do świętego Mikołaja i jest to może jedyny pomnik po dziesięciowiekowej przeszłości tego ludu i kto wie czy nie sięga pobytu na Pomorzu i w Prusiech św. Wojciecha. Modlitwa ta jest bardzo charakterystyczną i dlatego przytaczam ją tu w całości po polsku i kaszubsku.

Święty Mikołaju, dobry nasz patronie, módl się za naszego kasztanka do niebieskich ojców, gdyż do niego podkradł się złodziej wilk z orłem i skaleczył mu zad, a długie pędraki się wdały. Uderz go pastorałem, na którym wsparty stoisz i długą czapką (infułą), którą masz na głowie twojej przenajświętszej, a my za to damy ojcom naszym dobrodziejaszkom, parę kaczek, parę gęsi, okońków, węgorzy i miarkę wódki. (¹)

(D. c. n.)

Gdzie ja idę!

Gdzie ja idę z letnią chmurą,
Co przez lazur sunie,
Płowolicą, lotnopiórą,
Z oczami w piorunie!

Czy na w ogniach burz przetlałe,
Milczące pustynie,
Siać łzy bujne, rosy białe,
W przedświtu godzinie?

Gdzie ja idę z tą fujarą
Wyciętą z wierzbiny,
Co chrzci pieśnią dawną, starą,
Wzgórza i doliny.

Czy w te pola i w te lasy,
Przed omszoną chatę,
W głuche noce, w mroczne czasy,
Płakać wiosny stratę?

Gdzie ja idę, rozbolała
Ah, słońca tęsknicą,
Gdy promieniem drżącym pała,
Pod burzy przyłbicą?

Czy na groźnych baszt zwaliska,
Pod lipowe cienie,
Wydmuchiwać z popieliska
Przeszłych walk promienie ..

Gdzie ja idę z wichrów szumem,
Bijącym sto razy,
Z szalejących nocnic tłumem,
W opoki i głazy!...

Czy w ponurą tę głębinę,
Gdzie zgnębione duchy,
Naciągają pragnień linę
Na odmienne ruchy!...

O! nie krzepnąć mi na ziemi
Omszonym kamieniem,
W dal mi płynąć z wody temi,
Bezbrzeżnym strumieniem.

(¹) To samo po kaszubsku:
Sięty Nekloszu, gweszny nasz patronie, mermoc sę za naju fasku do Niebieskich wojc, do ktorego sę przewnikał złodzej werwech z orłechem i oszkaradzeł mu rzetnicę, a ne długie pedroki gmeroły. Klasnjiże go nam dwiym kneplem na ktorym rozparty staisz i na długą mycą, którą mosz na głowie twojej przenajświętszej, a my za to doma wojcom naszem dobrodziejaszkom pare plasgaje, pare gengaje, okonków, rukorków i kapkę śuierdzochy.

W głuchych mrokach świecą twarze
Trójne światowide...
Chmury, wichry i cmentarze
Mówcie: gdzie ja idę?

Romania Kamieńska.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Był to dzień niedzielny, szkółka była zamknięta, Marynia wybierała się do kościoła, to samo matka, gdy wpadła do mieszkania Zosia Bardzka, zakwefiona, wystrojona, wyelegantowana, w koronkach, jedwabiach, jakby na wystawę mody wszystkich magazynierek całego świata.

Zmęczona, rozgorączkowana, nie mówiąc nic siadła na pierwszem z brzegu krzesełku i wpoiła oczy w stojącą przed sobą Marynię. Lica jej drgały, spojrzenia migotały, poruszała się niespokojnie, poprawiała, wreszcie rzekła tłumiąc głos w sobie, jakby chciała powstrzymać jego wybuch.

— Jesteś piękną moja panno, ale uroda twoja bardzo zwyczajną. Spojrz na mnie, czy możesz się ze mną porównać?

To mówiąc, odrzuciła zasłonę i stanęła przed zdumionemi kobietami w całej krasie swej ponętnej piękności, które sądząc, że z waryatką mają do czynienia w milczeniu spojrzały na siebie znacząco.

— Nie spoglądajcie tak na siebie—zawołała—bom nie waryatka jak sądzicie, ale mogę nią zostać i to przez ciebie ty śliczna panno, która wyglądasz jak niewiniątko a jak żmija ukrywasz żądło rażące śmiertelnie.

Zosia podeszła ku Maryni, ta przelękniona ukryła się za matką, a pani Czemecka rzekła:

— Nie rozumiemy nic pani, ani nie domyślamy się o co nas oskarżasz...

— Jakto, nie rozumiecie? — wybuchnęła Zosia. — A któż u was był wczoraj?

— Nikt nas nie nawiedził, bo w dzień powszedni na przyjmowanie gości nie mamy czasu.

— Kryjcie prawdę przed każdym ale nie przede mną! — wrzasnęła Zosia. — Ja wiem wszystko i wiem, że wczoraj był tu pan Zbigniew Długosz, i że go znów nęcicie, aby go uchwycić w swoje sidła. A czy wiecie czem on jest dla mnie? Dziś już wszystkiem! Gdybym go straciła umarłabym, gdyby przestał mnie kochać oszalałabym, a tę coby mi go zbałamuciła rozdrapałabym choćby to była córka mocarza całej ziemi. O tak! — i mówiąc to chusteczkę od nosa podarła na kawałki, rzuciła na ziemię i zdeptała nogami. Przeszła się potem ciężko oddychając i znów mówić zaczęła:

— Przyszła jego żona nic mnie nie obchodzi, bo cóż mnie może obchodzić, iż będzie miała cień tego, który jest moim? Ale kochanka... o! kochanka, niech się strzeże, bo miecz który we mnie wymierzy utopię w niej i to wyostrzony całą mą nienawiścią. Pamiętajcie o tem! Jam dla niego na świecie wszystkiem wzgardziła, wszystko porzuciłam jego tylko zostawiając... pamiętajcie o tem, pamiętajcie!

Zosia jak furya z ostatniem słowem wybiegła z mieszkania i wsiadłszy do czekającej na nią dorożki, kazała się powieźć do jednego z kościołów, w którym Zbigniew z kilku swemi przyjaciołmi, zwykle robił przegląd wychodzących kobiet po nabożeństwie.

Marynia drżała jak liść tak się przelękła gwałtowności Zosi, matka jej niemniej była poruszona.

— To waryatka — odezwała się wreszcie — bo niepodobna przypuścić, aby przy dobrych zmysłach ktoś podobne sceny wyprawiał.

— Waryatka czy nie waryatka — odrzekła Marynia, bardzo rzewnym głosem — to jedne z tego następstwa. Cóż teraz ludzie o mnie powiedzą, gdy się dowiedzą co się tu przed chwilą działo? Ogłoszą mnie za awanturnicę, niegodną prowadzenia szkółki i odbiorą na nią pozwolenie. O! Boże, mój Boże!

Na nieszczęście, Stanisława Strońskiego nie było w Warszawie, wyjechał dniem wprzódy zagranicę dla zebrania dowodów w sprawie nader ważnej i nie miał wrócić jak za kilka tygodni. Z Józiem więc samym nastąpiła walna narada i uznawszy, iż między bytnością wczorajszą Zbigniewa a zjawieniem się dzisiaj owej zupełnie sobie nieznajomej, która nawet nazwiska swego nie wyjawiła, zachodzi jakiś związek, że ponawianie podobnych odwiedzin czy z jednej, czy z drugiej strony, może być dla Maryni bardzo kompromitujące, że wreszcie głównym powodem przebytej awantury nikt być inny nie może tylko Zbigniew, postanowiono, aby Józio sam postarał się z nim zobaczyć i to jak najprędzej i w poufnej rozmowie przedstawić mu zaszły wypadek bez żadnej osłony. Napisał więc list do niego, prosząc o naznaczenie godziny odwiedzenia go w interesie bardzo ważnym i niecierpiącym zwłoki.

Zeszło parę dni nie odebrano żadnej odpowiedzi. Posłano drugi i ten pozostał bez skutku, a że dojrzano Zosię zaglądającą parę razy przez okna do sklepu, do mieszkania i do szkółki, Józio domyślając się, że listy muszą być chyba przejmowane, bo nie przypuszczał, aby rozmyślnie pomijane były milczeniem, postanowił użyć innego środka i jak mu się zdawało skuteczniejszego.

U Stanisława bywał często pan Krasik stary kawaler, dawny wojskowy, porucznik z gwardyi szaserów, którego przez szacunek dla jego butnej postaci, zawiesistego wąsa i dziarskiej prawdziwie wojackiej miny, wszyscy tytułowali pułkownikiem. Zdrów jak ryba, silny jak Herkules, wesoły, jowialny, sławny gaduła i facecyonista, posiadacz stałego i dość okaźnego dochodu, bywał we wszystkich domach większego świata i znał dobrze Długoszów i panią Smirskę. Ponieważ był zwolennikiem wielkiem robienia przysług i protegowania proszących go o to, nie mając co robić, cały dzień biegał za cudzemi interesami i co nie mógł wyjednać przedstawieniem, to wykrzyczał, wyhałasował a zawsze prawie postawił na swojem.

Uczciwości nieposzlakowanej, honorowy wielce, nie grzeszył zbytkiem taktu i bystrością umysłu, ale rżnął prawdę ani pytał i ztąd zwano go często weredykiem, szanowano, ale i bano się zarazem, bo kulą z pistoletu wystrzeliwał asy, pałaszem lub szpadą rąbał jak najlepszy fechmistrz i znał wszystkie ceremonie pojedynków z któremi był dosyć oswojony.

W tej chwili prawie, kiedy Józiowi p. Krasik przyszedł do myśli, ten wszedł do kancelaryi i dowiedziawszy się, że Stanisław wyjechał przed tygodniem zagranicę, zawołał:

— A to wielka szkoda, miałem właśnie prosić go o posadę dla jednej baby opętanej przez pasierba, który wyzuć ją chce ze wszystkiego i osadzić na koszu, jak kurę na jajach. Cóż robić muszę się zatrzymać do jego powrotu.

— To pułkownik długo będzie czekać, bo dziś odebrałem list od ojca z zawiadomieniem, iż pobyt swój zagranicą musi przedłużyć więcej znacznie jak zamierzył.

— Um! to nie dobrze, ja tak kocham poczciwego Stacha—odrzekł p. Krasik wyjmując cygaro—on tak chętnie załatwia wszystkie moje prośby.

— W zamian — odezwał się Józio, podając zapaloną świecę — ja mam prośbę do pana pułkownika...

— A i owszem, mów kochanie, a wszystko zrobię co mogę. I o cóż masz mnie prosić?

— Pan Zbigniew Długosz...

— O! znam go dobrze, troszkę szaławiła, jak koń pierwszy raz pod siodłem, ale zuch chłopak, lubię takich bo jak piwo za młodu nie wyszumi to skwaśnieje.

— Otóż pan Zbigniew pragnąc się ze mną bliżej porozumieć w kwestyi naszego handlu...

— O! głowa to dobra, otwarta — przerwał pan Krasik, nieumiejący długo słuchać. Można z nim o wszystkiem rozmawiać, finansista, ekonomista a i kawał filozofa, jak mówi to niech go kaczki zdepczą. Mógłby w pułku kapelana zastępować.

— Raz tylko przez małą chwilkę byłem w jego towarzystwie nie miałem więc sposobności bliższego poznania...

— A to szkoda! bo powiadam ci, że to figlarz jakich mało. Nastawiał rogów jak stogów na łbach niedołęgów, a kiedy się czai uszczknąć świeżą różyczkę, to zręczny jak kot a czujny jak koń pod żołnierzem na placówce. Zapewne chcesz się z nim poprzyjaźnić?

— To już ode mnie nie zależy.

— A to dlaczego? Słyszałem żeś się pięknie zagranicą wykształcił, to właśnie przyjaźń jakiej pragnąć powinieneś.

— Nie pogardzę nią — odrzekł Józio — ale dziś pragnąłbym tylko rozmówić się z panem Zbigniewem o co sam mnie prosił. W tym celu pisałem do niego dwa listy ale na nie żadnej mi nie przysłał odpowiedzi.

— Czy może być? Musiał je chyba nie odebrać.

— I ja tak przypuszczam, ale może być i inna tego przyczyna...

— A jakaż?

— Może fantazya pańska...

— O! tak, fumów u nich nie brakuje, a ja ich nienawidzę.

— I ja także, potwierdził Józio.

— Tak należy, tak honor każe.

— Dlatego też — mówił dalej Józio — prosiłbym bardzo p. pułkownika, aby raczył się z nim zobaczyć i dowiedzieć się czyby jutro rano w godzinie przez niego oznaczonej nie mógł mnie przyjąć u siebie w domu.

— A i owszem chętnie, dziś właśnie mam być w południe u p. Smirskiej polecić jej pomocy biedną matkę czworga małych dziatek. Tam spotkam się zpewnością przy śniadaniu ze Zbignie-

wem, bo dla narzeczonej jest z całą galanteryą etykiety, jak w służbie frontowej w której wszystko musi lśnić, świecić, błyszczeć począwszy od kasku na głowie, aż do ostrogi.

— Będę wielce obowiązany panu pułkowni kowi. .

— A za co? Czy za te parę słów, gdy mu powiem, oto znajomy ci p. Józef Stroński, pragnie cię jutro rano odwiedzić i rzecz skończona. Ja wszystko lubię załatwiać krótko węzłowato, jak raport w czasie bitwy, gdy kule syczą a granaty pękają.

— To najlepsza droga i ja się jej zawsze trzymam.

— Kocham cię zuchu! — zawołał pan Krasik, obejmując Józia za szyję i całując go w czoło. — Znać, że jesteś synem poczciwego ojca a mego kochanego Stacha.

— Na nieszczęście nie jestem jego synem—odezwał się Józef ze smutkiem.

— Prawda, zapomniałem, że mój Stach kawaler. Jesteś więc jego synowcem?

— I to nie, nawet krewnym nie jestem mego zacnego opiekuna i nazywam się nie Stroński ale Józef Długosz...

— Co, Długosz, krewny Zbigniewa?

— Nie wiem tego dobrze. Być może, że rody nasze kiedyś z jednego pnia wyrosły, ale stało się to tak dawno, że dziś widocznie świadomość nawet związku tego została zatraconą i jesteśmy najpewniej tylko imiennikami.

Pan Krasik był jednym z tych, co to z małych robią wielkie rzeczy i bywają stróżami honoru, aż do śmieszności czujnemi. Legitymista czystej wody, bo takim go zrobiło towarzystwo z którem żył i przyjaźnił się, zaraz powziął pewne podejrzenie i lękając się kompromitacyi, rzecz całą postanowił dokładnie wybadać.

— Hm! — mruknął — to być może, ale powiedz mi jakim sposobem dostałeś się w opiekę swego zacnego opiekuna?

— Znał moją matkę i przez pamięć dla niej wziął mnie opuszczonego zupełnie sierotę.

— Sierotę? Hm!—mruknął znowu p. Krasik— a cóż się z rodzicami stało?

— Matka umarła wkrótce po mojem urodzeniu, a o ojcu nic nie wiem, nie znałem go zupełnie.

— To dziwne, hm! to dziwne — mruczał pan Krasik. — Niech cię to nie dziwi, że cię tak wypytuję, ale widzisz ja każdą sprawę w której występuję lubię znać z gruntu, jak dobry kawalerzysta swego konia, a między ludźmi różnie się zdarza...

— Mam wszystkie dowody dotyczące mej osoby — odrzekł Józio domyślając się o co tu idzie.

— A! masz, to bardzo dobrze, bo widzisz przypuszczałem... no rozumiesz?

— Żałuję tylko — odrzekł Józio rumieniąc się — że więcej szczegółów o rodzicach dostarczyć nie mogę, bo nie mając matki, a przez obcego mi zupełnie wychowany, cóż dziwnego, że przeszłość ich jest mi zupełnie obcą.

— Zapewne, zapewne, jesteś zupełnie usprawiedliwiony — odrzekł p. Kraśnik. — Rozmówię się ze Zbigniewem, ale widzisz z ludźmi trzeba być bardzo ostrożnym jak w podjeździe pod obozowisko nieprzyjaciela. Stając przed Długoszem w imieniu Długosza, muszę wiedzieć dobrze za kim przemawiam. Tak nakazuje regulamin światowy, który pozór prawdy bardzo potępia.

— Bogiem się świadczę—odrzekł Józio z przejęciem — i daję słowo honoru, iż wszystko co powiedziałem jest świętą prawdą.

— Dość mi na tem — odparł p. Krasik podając rękę Józiowi.—Jestem teraz pewny siebie jak jeździec, gdy czuje nogi w strzemionach. A to potrzebne było koniecznie, bo ten brak odpowiedzi na listy jakoś mi się niepodoba.

Pułkownik jak spodziewał się, znalazł p. Smirską przy śniadaniu razem z Walentyną i Zbigniewem. Powitano go z ogólną wszystkich radością, p. Smirska cieszyła się, iż grono ich powiększyło się tak wesołym przybyszem, Zbigniew, że nie będzie się wysilał na podtrzymywanie rozmowy, Walentyna że cokolwiek dozna ulgi w ciągłej baczności na siebie, aby stryjenkę zadowolnić. Drugi dzień dopiero czując się lepiej, była jeszcze bladą, mizerną ale znacznie uspokojoną. Co się działo w głębi jej serca, któż to odgadnie? Lekarze zalecili jej kilkotygodniowy pobyt na wsi, gdzie z panią Smirską miała jutro wyjechać, być więc może, że to na nią tak zbawiennie oddziałało.

Pułkownik z zakręconemi starannie wąsami, powiedziawszy p. Smirskiej, iż cieszy się widząc ją zdrową i w najlepszem usposobieniu, że panna Walentyna choć przybladła, ale zawsze ładnie wygląda, że Zbigniew coraz więcej nabiera podobieństwa do Marsa, zdając się tylko czekać hasła wojennej trąbki, aby dosiąść rumaka i rzucić się na bisurmana, zabrał się zaraz do jedzenia na chwilę nie poprzestając gawędzić. I potoczyła się rozmowa lekko, swobodnie, o drobnostkach powszednich zwyczajnego życia, śmiano się, żartowano, p. Smirska rozweseliła się, Zbigniew ożywił a nawet Walentyna czasem się uśmiechnęła i zrobionem zapytaniem dawała dowód, że ją rozmowa zajęła.

Wreszcie śniadanie skończyło się. Pułkownik za wyjątkowem pozwoleniem dam, zapalił cygaro i zwracając się do Zbigniewa rzekł.

— Ale, ale w tak miłem towarzystwie, zaledwie nie zapomniałem, że mam do ciebie panie Zbigniewie poselstwo od wychowańca mecenasa Strońskiego, którego zawsze uważałem za jego syna a dziś się dopiero dowiedziałem, że ma to samo co ty nazwisko i nazywa się Józef Długosz.

— Cóż to za jeden? — zapytał Zbigniew rzucając spojrzenie na Walentynę, która w tej chwili poruszyła się niespokojnie i nagle zarumieniona chusteczkę do ust poniosła.

Pani Smirska zrobiła minę poważną i także spojrzała na swą wychowanicę. Pierwszy to raz w jej obecności nazwisko to zostało wymówione.

— Jakto nie znasz tego młodego człowieka? — zapytał pułkownik.

— Zupełnie go sobie nie przypominam. Być może...

— Ależ on wyraźnie mi powiedział, że poznaliście się z sobą niedawno, że pragniesz z nim zawiązać bliższe stosunki czy też porozumieć się w jakiejś ważnej kwestyi i w tym celu pisał do ciebie dwa listy, na które nie odebrał żadnej odpowiedzi.

— A tak, teraz sobie dopiero przypominam — odrzekł Zbigniew, ciągle śledząc Walentynę siedzącą jak na torturach a sam starając się hamować wewnętrzne wzburzenie, które go niemal dławiło.

— Jest to ten sam — mówił dalej drżącym niezwykle głosem — młody kupczyk, który miał odwagę wystąpić publicznie sądząc zapewne, że tak łatwo mu przyjdzie tumanić łatwowiernych słowami mniemanej nauki, jak mierząc łokciem w handlu drogocenną materyę. Poznałem go przypadkiem w szkółce elementarnej, ale grzeczność w obejściu z nim posunąłem widać za daleko, skoro zapragnął zaszczycić mnie wizytą wcale dla mnie niepożądaną.

— Ależ panie Zbigniewie — odezwał się pułkownik z wielkiem zadziwieniem — jakże możesz...

— Mój pułkowniku nie mówmy o tem więcej— przerwał Zbigniew — jest to kwestya...

— Owszem przeciwnie — odezwał się żywo p. Krasik — musimy właśnie w tej kwestyi jak najzupełniej się porozumieć, bo kiedy za kim przemawiam, to go biorę jakby w opiekę i uznaję godym tego. Bronić go więc muszę jak siebie, tak honor nakazuje. Cóż mu więc odpowiem gdy mnie zapyta...

— To odpowiedz mu szanowny pułkowniku — odrzekł Zbigniew syczącym głosem tłumionego uniesienia — że podobnym jak on przybłędom na listy nie odpowiada się a wizytujących lokajami zrzuca się ze schodów.

— Ah! Zbiniu, nie zapominaj się — odezwała się pani Smirska.

— Przybłędów! —wrzasnął p. Krasik. — Ależ to panie Zbigniewie ubliżające, a przytem niezapominaj, że to twój imiennik a zapewnie i krewniak daleki.

— Właśnie to mnie najwięcej oburza, iż się przyczepił do naszego nazwiska jak oset do ubrania. Są chłopi Długosy i Długosiki, ale Długoszów oprócz nas nie ma innych. Z Długosa przez dodanie tylko litery z łatwo się przerobić na Długosza, on to dopełnił, czyż więc nie zasługuje na nazwę przybłędy?

— Wszystko to dla mnie jak tabaka w rogu— odrzekł p. Krasik. — Czybym wbłąd był wprowadzony? Ale to niepodobna, Stroński zanadto zacny człowiek aby wychowańca swego na szalbierza wykierował. Czy masz dowody podszycia się jego pod nazwisko Długosza?

— Sądzę, że to on powinien się wylegitymować, iż nazwisko Długosza słusznie mu przynależy.

— Dowody ma — odrzekł pan Krasik — dał mi na to najświętsze słowo honoru i jestem pewny, że je posiada.

— Mój pułkowniku — odezwał Zbigniew z najwyższem szyderstwem i bacznie spoglądając na Walentynę, kto umie przekręcać swoje nazwisko, to umie także fałszować dowody. Jedno idzie za drugiem.

— Wiesz co panie Zbigniewie, że mnie to wszystko w taki wprowadziło odmęt, jak w szarży kawaleryi, gdy ją grad kartaczy zasypie. O! muszę to lepiej zbadać idzie tu o mój honor, z którym żartować nikomu nie pozwolę.

Pan Krasik kręcąc wąsa przechadzał się niespokojnie, p. Smirska dała znak Walentynie i Zbigniewowi, aby się oddalili, a gdy pozostali sami rzekła:

— Zbigniew, mój pułkowniku bez potrzeby całą tę sprawę wziął tak do serca, że aż posunął się do zapomnienia o przyzwoitości. Dziwię się temu bo o cóż tu gniewać się?

— Naturalnie, naturalnie — potwierdził pan Krasik.

— Mimo tego — mówiła dalej p. Smirska — Zbinio słusznie twierdzi, że oprócz nas innych Długoszów nie ma. Ale jak w najtroskliwiej pielęgnowanem drzewie na pniu jego wyrastają tak zwane wilki, które ogrodnik starannie obcina i rzuca na ogień, tak i w rodach najznakomitszych podobne zboczenia zdarzać się mogą i niestety nie bywają tak wielką rzadkością.

— To prawda, pani dobrodziejko, to prawda— wtrącił pułkownik. Rumak najlepszy a czasami

znarowi się i rzuci w bok choć z drogi zbaczać nie powinien.

— Otóż widzisz, mój pułkowniku — mówiła dalej p. Smirska — być może, że iż ów przezywający się Długoszem, jest owym wilkiem wyrosłym z pnia szlachetnego drzewa, ale pojmujesz że to nie nadaje mu praw do jakich rości pretensyą.

— Naturalnie, naturalnie — potwierdził pan Krasik — co się nie mieści w rozkazie dziennym to nie obowiązuje.

— Tacy nie powinni odkrywać tajemniczej zasłony, która ich zasłania przed zbyt ciekawem badaniem — mówiła dalej p. Smirska — gdy to robią sami sobie przypisać powinni przykre z tego następstwa jakie ich spotykają.

— Jak rekruta, gdy starego chce udawać żołnierza — wtrącił znowu p. Krasik.

— Nawet sobie teraz przypominam — ciągnęła dalej p. Smirska — że tam kiedyś, kiedym była jeszcze panną, jakaś zaszła w naszym rodzie awanturka, później zgłaszano się do mnie...

— Z tą awanturką? — zapytał pan Krasik z uśmiechem.

— Rzeczywiście, z tą awanturką — odrzekła p. Smirska także uśmiechając się — ale podobnemi brzydzę się, nie zbadałam jej bliżej i wreszcie zupełnie o niej zapomniałam. Teraz dopiero przyszła mi do myśli, nic jednak nie pamiętam kto zgłaszał się do mnie. Lat to temu tyle.

— Teraz jestem w domu — odrzekł pan Krasik, powstając i pokręcając wąsa — i widzę, że zostałem wplątany w sprawę wcale niehonorową. Jestem oburzony, rozirytowany, ale płazem tego nie puszczę. Wystrychnąć mnie na dudka to troszkę za wiele. Stary żołnierz żartować z siebie nie pozwoli nikomu, choćby rodzonemu bratu. A to szykana, jak honor kocham, prosta szykana. Gdyby mi z całą otwartością wyznał wszystko, no to co innego...

— Naturalnie — potwierdziła pani Smirska — zboczenia rodowe przygniatają swoim ciężarem, ale tych co go dźwigają nie obwiniają. Smutne to ale konieczne, ciało jest szatą duszy dbać o niepokalaną czystość obojga jest obowiązkiem każdego.

Pan Krasik udał się natychmiast do mieszkania Stanisława Strońskiego i jak to było jego zwyczajem, nie obwijając nic w bawełnę, opowiedział Józiowi całą osnowę przeprowadzonej rozmowy ze wszystkiemi szczegółami.

— To potwarz — zawołał biedny młodzieniec, płonąc cały z oburzenia. Nic mnie nie obchodzi ojciec ani wszyscy Długosze, jacy tylko mogą znajdować się na świecie, ale matki pamięć jest świętą. Czcić ją i kochać nauczył mnie mój przybrany ojciec, również zacny jak rozumny, który mnie jak najuroczyściej zapewnił, że biedna moja matka była nieszczęśliwą ale nie występną. Jemu wierzę najzupełniej, nie czciłby pamięci tej którejby nie szanował. Oto dowody urzędowe, metryka ślubu moich rodziców i mego urodzenia.

Pan Krasik przejrzał je, przypatrzył się podpisom, pieczęciom i znalazł je w najzupełniejszym porządku.

Ojciec Józia i Zbigniewa zarazem, w podpisie aktu ślubnego pomieścił imię Stefan bo to było jego pierwszem a więc właściwem imieniem, Władysław zaś drugiem, pod którem znany był wszystkim i tak go od dziecka w domu nazywano, ale to choć ważności aktu dodawało, nie pozwoliło domyśléć się p. Krasikowi czem jest ów Stefan Długosz względem Józia i Zbigniewa. Nie wiedząc nic o tej dziwnej przemianie imion, znając ojca Zbigniewa zawsze jako Władysława, pan Krasik uznał podpisanego ojca Józia za jakiegoś drugiego Długosza p. Smirskiej i Zbigniewowi zupełnie nieznanego.

Prawo więc używania przez Józia nazwiska Długosza, nie podlegało żadnej wątpliwości, ojca jego w akcie wymieniono jako obywatela ziemskiego, w jakiej jednak zamieszkiwał okolicy, i co się z nim obecnie dzieje, Józio zupełnie nie umiał objaśnić. Dla Stanisława był to przedmiot wstrętny, unikał go w rozmowie jak najtroskliwiej, zawsze zbierał się do udzielenia Józiowi dokładnej wiadomości o ojcu, ale odwlekał to z dnia na dzień i tak zeszło aż do tej pory.

Pan Krasik wziął tę sprawę niezmiernie do serca, tego jednak dnia Zbigniewa nie zastał w domu a pani Smirska razem z Walentyną wyjechała z wizytami pożegnalnemi przed swoim na wieś wyjazdem.

— Walentynka była trochę cierpiąca — mówiła do pań p. Smirska — zalecono jej świeże powietrze, za kilka jednak tygodni powrócimy do Warszawy. Są to już ostatnie chwile bezpośredniej mej nad nią opieki, radabym przewlec je jak najdłużej, ale młodość jest niecierpliwą i bezwzględną w swoich pragnieniach.

Pomimo jednak dania przez to do zrozumienia o blizkiem wyjściu zamąż Walentyny, oznak tej niecierpliwości na Walentynie nie dostrzegano i jednozgodnie prawie przyznali wszyscy, że w jej twarzy i oczach więcej przebijał smutek jak radość przez skromność starannie tajona.

Nie wróżono z tego nic dobrego i robiono różne domysły, na których było prawdy wiele ale dodatków jeszcze więcej.

(D. c. n.)

OSTATNI Z RODU.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

Skreślił

Władysław Kor. Zieliński.

(Dalszy ciąg.)

Tak idąc i objaśniając po dobrej godzinie bezustannego pochodu krętemi i coraz liczniej rozgałęziającemi się korytarzami, zatrzymała się przed małemi, żelaznemi, nieco uchylonemi drzwiczkami. O parę kroków dalej korytarz rozdzielał się w dwa ramiona, które wedle twierdzenia Motruny prowadziły: jedno do podziemi klasztoru OO. Bernardynów, a drugie do baszty znajdującej się pomiędzy bramą krakowską a budującemi się gmachami OO. Jezuitów.

— No! teraz, — rzekła Motruna, uchylając żelazne drzwi, przed któremi się zatrzymała,—jesteśmy już jakby u celu, bo oto i wejście do piwnic grobowych pod kościołem panien zakonnych. Ja pójdę przodem i zobaczę czy w kościele lub na korytarzach klasztornych nie ma jakiej przeszkody. Panna wielebna chociażby mnie która i spotkała, to się nie zdziwi, wiedzą bowiem, że po nocach przesiaduję w kościele, lub włóczę się po korytarzach.

Motruna przodem, a za nią Brzozka z towarzyszami weszli ostrożnie do podziemia kościelnego. Światłem pochodni rozproszone nieco ciemności, pozwalały widzieć wzdłuż ścian podziemia, ustawione szeregi trumien. Środkiem głównej piwnicy na podwyższeniu z płyt kamiennych, leżały pospołem ciała zmarłych zakonników i zakonnic św. Brygidy.

Motruna mrucząc pacierze prędko pobiegła ku schedkom kamiennym, które z głębi podziemia w górę do wnętrza kościoła prowadziły. Wszedłszy na schodki, podniosła wejście zamykające drzwi żelazne i wnet znikła w ciemnościach zalegających całą świątynię.

Cicho i głucho tu było. Przed ołtarzem wielkim, płonęła lampka słabo migocąc, ale światło jej nie mogło rozproszyć ciemności zalegającej gotycką świątynię.

Motruna wszedłszy do kościoła, zamknęła drzwi prowadzące do grobów, poczem podążyła ku korytarzom klasztornym, gdzie od strony ogrodu zamieszkiwała Małgosia. Na korytarzach rozległych sklepionych i pogrążonych w grubej nocnej pomroce, gdzieniegdzie przed obrazami świętych, blado świeciły lampki pobożną ręką wielebnych panien utrzymywane.

Motruna przesunęła się wzdłuż korytarzy i zapierając oddech zatrzymała się u drzwi celi zajmowanej przez Małgosię. W celi było cicho, płonęła tylko w niej lampka. Jak w całym klasztorze tak i tu drzwi bez zamku, były tylko przyparte.

Motruna przekonawszy się, że nic nie stoi na przeszkodzie, również tak cicho jak i przybyła, z pośpiechem wróciła do podziemi kościelnych, gdzie wspólnicy przybycia jej oczekiwali w milczeniu.

— Ha, no! — rzekła Motruna stając przed Brzozką — spieszyć należy, bo niebawem panny zakonne na modlitwy schodzić się poczną. Lada chwila kur zapieje. Idźcie za mną!

Brzozka i jego wspólnicy stąpając na palcach podążyli za Motruną, a przebywszy kościół i korytarze klasztorne, wnet znaleźli się u drzwi prowadzących do celi zamieszkiwanej przez Małgosię!

Brzozka dał znak pomocnikom swoim, którzy z całą ostrożnością tuż za nim wsunęli się do celi. Motruna pozostała na korytarzu.

Słabo płonąca lampka zawieszona przed obrazem Bogarodzicy, oświetlała celę, w której u stóp łoża osłoniętego kotarą nieruchomie klęczała Małgosia.

Widać, że pogrążoną w modlitwie i rozmyślaniach sen nieprzezwyciężony owładnął.

Brzozce było to na rękę, skinął na swoich pomocników, którzy w jednej chwili owinąwszy głowę Małgosi przygotowaną chustą, aby zapobiedz wołaniu o pomoc, porwali ją na ramiona i wynieśli z celi. Z niezmiernym pośpiechem przeszedłszy korytarze, chór jako też i kościół, spuścili się nareszcie do podziemi.

— Będzież to larum, — mówiła Motruna—gdy rankiem przewielebna ksieni dowie się o zniknięciu jejmość panny Żędzianki. Ale cóż mnie to obchodzi, że ktoś tam pożądał pięknej Małgosi, a czyż nie lepiej postąpił ze mną dzisiejszy wojewoda Poznański? Jak długo była krasa tak też długo i miłował mnie, a potem wypędził jak zapowietrzoną, a dziecko moje jedyne zabrał mi i zaprzepaścił! Słuchajcie, — dodała po chwili Motruna — powiedzcie mi prawdę, tak jak pra-

gniecie zbawienia, z czyjego to rozkazu porywasz tę dziewkę?

— A wam co po takiej ciekawości?

— Bądźcie spokojni, Motruna umie trzymać język za zębami!

— Których nie ma! — zawołał Brzozka.

— Nie mam bom straciła je, gryząc kamienie Szczebrzeskiego zamku!

— Szczebrzeskiego zamku? — zapytał zdziwiony Brzozka.

— Ha, no, jużcić,—odparła Motruna.—Wszak wojewoda Poznański nie żałował mi ich trzymając w lochach, pokąd nie przysięgłam na krucyfiks, że pójdę sobie w świat, tam gdzie mnie oczy poniosą!

— No, lecz jakoś daleko nie zaszliście, — rzekł uśmiechając się Brzozka.

— Ha, widać że Bóg tak chciał, abym od wojewody nie bardzo się oddalała.

— A cóż stało się z waszym synem? — zapytał Brzozka.

— Co? alboż ja wiem? podobno wojewoda zabrał go z sobą do Szamotuł i kazał uczyć w Poznaniu, ale gdzie teraz przebywa to nie wiem, proszę tylko Boga, aby nie był takim łotrem jak ojciec jego. Oj! mówię waszmości strzeżcie się tego bezbożnika, unikajcie go jak ognia, bo zły i mściwy to człowiek!

— A, wiem ci to ja wiem, — rzekł Brzozka — dlatego też dostojny pan mój Jan Siemion unika jak ognia spotkania z wojewodą!

— A, to wy ze dworu księcia Słuckiego?

— Tak jest.

— Hm! i on taki sam jak i inni, — mruknęła Motruna, a po chwili zatrzymując się u otworu prowadzącego na zewnątrz podziemnych pieczar dodała: — już jesteśmy u celu a teraz jedźcie szczęśliwie.

Brzozka puściwszy przodem niosących bezprzytomną Małgosię i gdy już ją wsadzono do kolebki, dosiadł konia, raz jeszcze zwrócił się ku Motrunie i rzucając jej parę sztuk złota z szatańskim śmiechem dodał:

— A pomódlcie się tam czasem stara wiedźmo za zdrowie wojewody, który wdzięczen wam będzie, żeście mi dopomogli porwać dla niego nadobną Małgosię!

— Dla niego Małgosię! — krzyknęła Motruna i groźnie wyciągając ku niemu rękę.—Więc mnie podszedłeś i jesteś sługalcem tego potwora? O! bądź przeklęty na cały swój żywot...

— Ej czarownico zamknij jadaczkę, bo jakem Grzegorz Brzozka zamknąć ci ją potrafię!

— Grzegorz Brzozka! mój syn! — zakrzyknęła Motruna padając jakby piorunem rażona, tuż pod kopyta konia Brzozki. Służalec słów tych nie dosłyszał i uspokoiwszy przestraszonego rumaka, poskoczył za uchodzącymi w kierunku Zemborzyc, zkąd przebywszy przez Bystrzycę dalej ku Szczebrzeszynowi ze swą zdobyczą podążać mieli.

(D. c. n.)

Pogadanka.

Powróciłaś już zatem Czytelniczko moja z zamiejskich światów; gdzie lubowałaś się przez czas długi wonią róż, jaśminów, świeżem powietrzem, i wszelkiego innego rodzaju przyjemnościami, o których my stali mieszkańcy miast tak szczupłe mamy wyobrażenie.

Powróciłaś także już i ty pani, co w zamorskich krajach szukałaś wrażeń i z wdzięcznym uśmiechem zawiązawszy fartuszek, zdwojoną energią, krzątasz się już zapewne około swojego gniazdka, z tą serdecznością poczciwych naszych wiejskich gosposi, którą darmo szukać można za siódmą górą i rzeką dziesiątą.

Zabierając się więc do pogadanki z Wami i to jeszcze po odbytych przez was wędrówkach po szerokim świecie, na którym tyle pięknych widziałyście rzeczy, czynię to z wielką nieśmiałością—bo rozerwać nudy wasze, dziś, to nieco trudniejszą będzie rzeczą jak zwykle. Sprobuję jednak, chociaż dozwolonem mi było przez parę tygodni, oglądać tylko przez teleskop sprawy krajowe i zagraniczne, wówczas gdy wiele z was je mogło obserwować z blizka.

A już to tak zwany anioł śmierci, w roku bieżącym odznaczał się niepospolitą nieludzkością względem nas wszystkich.

Co dni parę dochodziły nas jakieś straszne wieści: to o zapadnięciu się Cassamicioli, to o zmiażdżeniu przez pociąg kolejowy tłumów ludu w Steglits pod Berlinem, to wreszcie o pożarze olbrzymim w Wiedniu, zaburzeniach anti-semnickich i anti-węgierskich w Austryi.

Cała ta lista nieszczęść jakie dotknęły ludzkość i szczegółowe opisy takowych, przez reporterów całego świata kreślone z zamiarem potargania nawet najgrubszych nerwów, prawdopodobnie dobrze są już znane wszystkim. Wolę zatem zająć się katastrofą, która dni temu parę zajęła całą Warszawę; wywołała niebywałą panikę i na szczęście skończyła się tylko pustym śmiechem...

Mówię tu o katastrofie na kolei Nadwiślańskiej, o zawaleniu się, jakoby pod przechodzącym pociągiem, mostu łącznego Pragę z Warszawą, pod cytadelą, co nareszcie okazało się bajeczką puszczoną w świat przez ludwisarzy.

Jest przesąd u ludzi tego fachu, a raczej zwyczaj przy laniu dzwonu, że puszczają w świat bajeczkę jakąś, od obszaru po jakim się ta bajeczka rozejdzie, zależnym jest podobno głos ulanego dzwonu i jego daleka dźwięczność.

Właśnie w tych dniach w jednej z naszych fabryk lano dzwon do kościoła Wszystkich Świętych na Grzybowie i oto zkąd bajka powstała...

Miałem sposobność na własne oczy widzieć przerażone twarze warszawiaków i warszawianek, pędzących co koń wyskoczy, dorożkami, na miejsce katastrofy urojonej, ba! więcej nawet, rozmawiałem już z takimi co na własne oczy widzieli stosy trupów, ranionych, podruzgotanych pociągów i wagonów,—a tymczasem w rzeczywistości most Nawiślański jak stał sobie, tak stoi do chwili obecnej i stać sobie prawdopodobnie będzie szczęśliwie przez długie jeszcze czasy.

I bajeczka ta jednak nie przeszła bez pożytku dla ogółu—zyskali na niej podobno bajońskie summy dorożkarze i reporterzy.

Ci ostatni zarobiliby niezawodnie więcej, gdyby bajeczka nie była próbą ulanego dzwonu, a rzeczywistym faktem,—no ale i za to co było niechaj Bogu będą dzięki, mówił jeden ze znanych mi reporterów.

Ludzie tego fachu, którego geneza wychodzi z kraju humbugu i amerykańskich kaczek, są to niezawodnie osobniki najbardziej pożyteczne i najbardziej szkodliwe dla społeczeństwa.

Do czego zaś dochodzi spryt reporterów amerykańskich, może posłużyć za dowód fakt następujący, jaki podaje jeden z uczonych w swych pamiętnikach, drukowanych w najpoważniejszem wydawnictwie europejskiem.

Zdarzyło się w Henfild miasteczku stanu New Jersey, iż wykonanie wyroku jakiegoś przestępcy, naznaczono na godzinę 12 w nocy. Reporterzy byli w rozpaczy, gdyż spis wykonania wyroku, nie mógł być pomieszczonym w porannem wydaniu gazet. Większość tych „dżentelmanów pracy“ zadecydowała iż nie ma wyjścia i położyła się do snu.

Jeden jednakże z nich najsprytniejszy wymyślił co innego. Udał się do intendenta więzienia, w którym znajdował się przestępca, z prośbą—czyby nie można tak urządzić zegarek więzienny, aby egzekucya odbyła się o dwie godziny wcześniej.

Intendent posunięcia wskazówki od zegarka odmawia twierdząc, iż tylko jeden przestępca może się starać o przyspieszenie egzekucyi, podając o to piśmienną prośbę do szeryfa.

Przedsiębierczy reporter natychmiast udał się do celi więziennej skazanego, rozbudził go, rozweselił żartami, anegdotkami, zaproponował mu kolacyę z butelką whisky i w rezultacie wymógł na nim prośbę do szeryfa o powieszenie na szubienicy nie o północy, a o godzinie 11-j.

Przestępca widocznie nie mógł odmówić takiej zasadniczej prośbie człowieka, który mu pomógł tak pięknie przepędzić ostatnie godziny ziemskiej wędrówki—szeryf zaś dał swoje zezwolenie. Egzekucya odbyła się o 11-ej i w jednym tylko dzienniku sprytnego reportera okazał się długi opis ostatnich chwil powieszonego mordercy.

Ten tryumf reporterski, sprawił olbrzymi dochód dla dziennika i wywołał wielką sensacyę w „profesyi“. Publiczność jednak ani się temu dziwiła ani oburzyła na to, wiadomość przyjęła jako dań sobie należną.

Tak reporter wygląda w Ameryce.

Nieco inaczej wygląda w Europie, a mianowicie we Francyi.

Tam reporter należy do najlepszej sfery towarzyskiej, posiada wiele gustu, zna się doskonale na toalecie damskiej, bywa w klubach, jest ich członkiem, grywa w karty, trzyma powóz i konie, w czasie wojny jest na polu bitwy, w czasie pokoju rozmawia z mężami stanu i posiada tę ogładę towarzyską, która czyni go pożądanym wszędzie.

Z tych racyi prawdopodobnie, gdy reporter taki p. Jan de Voutice ogłosił w pismach iż urządził towarzyską wędrówkę do głównych miast Europy, zgłosiło się kilka set osób do niego z prośbą o przyjęcie do uczestnictwa w tej podróży i złożyło na ręce reportera summę poważną kilkadziesiąt tysięcy franków wynoszącą i na oznaczony czas zgromadziło się w Hawrze, aby ztamtąd wyjechać na okręcie w towarzystwie miłem a wesołem.

Nieszczęście jednak chciało że przed wyjazdem p. J. de Voutice zajrzał do sali gry któregoś z klubów i całą złożoną do rąk jego kwotę przegrał, skutkiem czego, weseli pasażerowie w Hawrze długo bardzo czekać musieli na swego przewodnika, aż w końcu powrócili rozirytowani do Paryża

reportera oskarżyli do sądu, a że sąd figlów tego rodzaju nie lubi, przeto udzielił figlarzowi bezpłatnie mieszkanie w więzieniu Mazas...

Pan reporter się kręci, wywija, zmawia na swego kasyera p. Rozetti, ale jakoś sąd kręci głową i kto wie czy sprytnemu przemysłowcowi uda się wykręcić z tego dowcipnego zdarzenia, mimo tego iż ostatnie dzienniki francuzkie doniosły, ze został za kaucyą wypuszczony.

Zupełnie inny rodzaj stanowią reporterzy nasi. Pole działania ich więcej ograniczone, zajmują się równie pilnie ciekawemi wiadomościami, ale tyczą się one tylko dziór w moście, lub złamanych osi dorożek.

Czasem wprawdzie i u nas coś chcą po amerykańsku napisać, ale zawsze w tej amerykańskiej wieści tkwi trochę pierwiastek uczciwy, oburzenie na fakt godny nagany i skarcenia.

Reporter zatem nasz nie jest sobie zwyczajną osobą i mimo tego że nosi na sobie zupełnie odmienny charakter,—radzę z nim bardzo grzecznie przywitać się, jeżeli się zdarzy tylko gdzie spotkać go w towarzystwie, bo zaraz gotów wady waszego kostiumu w piśmie drukowem opisać. Ostrożność zatem nie zawadzi, a strzeżonego, jak mówi przysłowie, i Bóg strzeże.

A prócz tego przysłowia, co do mnie, ośmieliłbym się jeszcze dodać, że strzeże nas jeszcze „niewiasta“

Niedawno naprzykład dzienniki doniosły o pani Brodblin, która w zastępstwie swojego męża kierowała budową najznakomitszego i największego mostu na świecie w New-Yorku. Obecnie spotykamy się z drugim faktem takiego samego zastępstwa o pani Druckowic, która płynąc wraz z mężem na okręcie, na którym p. D. był dowódzcą; gdy zachorował, objęła kapitaństwo w swe drobne kobiece dłonie i w kierownictwie okazała taką głęboką znajomość rzeczy, iż załoga z uznaniem przyjęła dla kobiety posłuszeństwo.

Ale po co mi szukać kobiet obcych gdy dobroci i pilności tych poczciwych rączek każdy i z nas przez całe doznaje życie.

Ale pogadanka dzisiejsza i tak już dosyć długa, a więc odkładam to do przyszłego numeru.

O. Viola.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Kiedy rozeszła się plotka, wylęgła na warszawskim bruku, o załamaniu się mostu z pociągiem na Wiśle pod cytadelą, naturalnie tłumy ciekawych pobiegły natychmiast przypatrzyć się tak strasznemu wypadkowi. Ciekawsi pędzili dorożkami. Otóż dwóch z nich powróciwszy z wyprawy, gniewni i zawstydzeni trochę, że z nich tak zażartowano, zapłaciwszy dorożkarzowi za dwa odbyte kursa, chcieli już wejść do kamienicy, gdy ten trzymając pieniądze na ręku rzekł z frasobliwą miną:

— Myślałem, że dostanę rubelka, bo przed panami już dwa razy woziłem pasażerów do mostu, co się miał zawalić i od każdego rubla zarobiłem...

— A dlaczegóż nam nie powiedziałeś, że to bajka skoroś wiedział o tem? — zapytał jeden z owych panów.

— Ba! — odrzekł dorożkarz — albo to ja frajer jaki warszawski, żebym miał sam psuć zarobek kiedy się zdarza. Kto ciekawy niech płaci.

*** W mieście Opatowie p. Latoure, nauczyciel języka francuzkiego, w tych dniach otworzył szkołę dwuklasową dla panienek i chłopców. Pierwsi którzy w niej zostali pomieszczeni są synami okolicznych włościan i ci zobowiązali się od czterech swoich synów płacić po rubli dwieście rocznie od każdego. Wiadomość tę z wielką przyjemnością udzielamy naszym czytelnikom, jako świadczącą pochlebnie i o rozsądku naszych włościan i o ich zamożności.

*** Czytelniczka „Przyjaciela dzieci” p. Jadwiga Mijakowska z Antonówki pod Hrubieszowem, zrobiła spostrzeżenie bardzo zainteresować mogące pszczolarzy i naturalistów.

„Przechadzając się po ogrodzie, pisze w liście, uważałam, że pszczoły siadając na listkach szczególniej gruszy figówki, wygryzają z nich małe krążeczki wielkości dawnej pięciogroszówki i zrobiwszy to bardzo prędko i zgrabnie, układają między nóżkami wycięte krążeczki i lecą z niemi do pasieki. Wypytywany specyalista pszczolarz na co byłoby to dla nich potrzebne, nie umiał mi tego wytłomaczyć. Upraszam więc o odpowiednie objaśnienie.

Redaktor „Przyjaciela Dzieci” nie może go udzielić, zwraca się więc z prośbą do zajmujących się pszczolnictwem, aby raczyli mu przesłać swoje uwagi.

Listki z wyciętemi krążkami mogą być obejrzane w Redakcyi w godzinach przedpołudniowych.

*** W prześlicznym Ojcowie, który dzięki obojętności bogaczy naszych, zapewnie i tym razem w niemieckie przejdzie ręce, sześć tylko jaskiń, — a mianowicie: królewska, ciemna, zbójecka, jerzmanowska, wierzchowska i mamutowa znane były naukowemu światu i publiczności, odkryto obecnie jedną jeszcze, w pobliżu wsi Maszyce i od jej nazwy nazwano „Maszycką”. Odkryli ją wieśniacy w lesie należącym do Korzkwi, na pochyłości góry, ku dolinie Prądnika i zawiadomili o tem właściciela Korzkwi, który doniósł zaraz krakowskiej Akademii Umiejętności o tem ważnem odkryciu. Do czynienia na miejscu poszukiwań naukowych, wydelegowała Akademia p. Ossowskiego, jako członka komissyi archeologicznej. Zaraz w pierwszych dniach znalazł tam pan Ossowski cenne zabytki z epoki krzemiennej, jak ostre narzędzia z łupanego krzemienia, wyroby z kości jelenia i inne przedmioty dowodzące, że jaskinia ta była siedzibą pierwotnego człowieka. Ciekawa rzecz do jakich rezultatów doprowadzą dalsze poszukiwania.

*** „New-York-Herald” podaje, że w Jersey-City założono polskie stowarzyszenie bratniej pomocy, pod nazwą „Mickiewicza”. Pierwsze posiedzenie otworzył Stanisław Krzemieński serdecznem przemówieniem, które do łez wzruszyło obecnych. Komitet stowarzyszenia składają: prezes Antoni Mańkowski, oraz członkowie: Wilczewski, Piasecki i Bakalski.

*** Pan Tourneux, członek Instytutu, drukuje w Paryżu sprawozdanie z ostatniej swojej podróży, w którem znajduje się obszerna wzmianka o stanie naukowości w Polsce, jakoteż o przyczynach jej zastoju.

*** Przed miesiącem odbył się w Londynie mityng kobiet, pod przewodnictwem Jakóba Bright'a w celu domagania się prawa wyborczego dla kobiet i powzięcia wielu innych postanowień. Przemawiały dwie Amerykanki, mistres Santon i miss Antony, przedstawiając stanowisko kobiet w Stanach Zjednoczonych i wyliczyły długi szereg rozmaitych sposobów zarobkowania, jeszcze przed czterdziestu laty niedostępnych kobietom, a dziś całkiem przez nie opanowanych. Lekarzy kobiecych zastąpiły całe setki dyplomowanych doktorów płci żeńskiej, a co więcej kobiety głoszą z kazalnic słowo Boże licznym tłumom jako poważane i hojnie wynagradzane kaznodziejki. Dawniej uważano mężczyzn za naturalnych obrońców płci słabej — dziś kobiety bronią mężczyzn — przynajmniej przed sądami przysięgłych. Wolno im uczęszczać na kursa prawne i adwokaci kobiety mogą stawać w tym charakterze nawet przed najwyższym trybunałem i niezliczona ich liczba znajduje się w Ameryce. Kobiety redagują tam dzienniki i stanowią niemal połowę niezliczonego zastępu reporterów. W większej części szkół, wychowanie młodzieży pozostaje w ich ręku, ruch pocztowy odbywa się też prawie wyłącznie za ich pośrednictwem. Według obliczeń miss Antony, jest w Stanach Zjeondczonych 5,000 poczmistrzów kobiet, tylko skutkiem intryg mężczyzn, oddano im najgorzej płatne posady. „Ale, to nie dość, kończyła oratorka, nie wydobędziem się z niewolniczej podległości, dopokąd nie pozyskamy prawa wyborczego, zupełnie na równi z mężczyznami.” I kto wie, zwolenniczki tego prawa tak zawzięcie ubiegają się o nie i umiały już zjednać sobie tak licznych stronników, nietylko w Stanach Zjednoczonych ale i w Anglii, iż może kiedyś postawią na swojem.

*** Mało który kraj może się dziś poszczycić takimi protektorami nauki literatury jak Francya. Przed kilku miesiącami, Kamil Flamarion, znany astronom i znakomity popularyzator tej umiejętności, otrzymał w podarunku wspaniałą posiadłość, w której urządza sobie obserwatoryum prywatne. Czytamy znowu w dziennikach, że parę miesięcy temu pewien bogaty przemysłowiec poznał młodego literata, który dla chleba poświęcił się dziennikarstwu. Chcąc zwrócić talent jego piśmiennictwu, darował mu prześliczną willę z ogrodem na prowincyi i osadził go w niej z warunkiem że zaprzestanie pisywać do gazet, a natomiast utworzy jakąś dobrą powieść lub komedyą. Nareszcie niedawno temu, pani Michelet wyjechała na wieś dla uporządkewania i przygotowania do druku „Pamiętników” swego męża. Naprzeciw domku, który wynajęła, wznosi się stary zamek otoczony pięknym rozległym parkiem, właściciel jego spotkał kilkakrotnie panią Michelet przechadzającą się w pobliżu parku, a dowiedziawszy się o jej nazwisku, oddał jej w dożywocie cały zamek z przyległościami, aby mogła spokojnie dokończyć swej pracy.

*** Dotychczas nie było żadnego przyrządu do oznaczenia gęstości mgły; musiano poprzestawać na wyrażeniach, że mgła jest gęsta lub bardzo gęsta. Aby wyrazić i oznaczyć liczbami stopień gęstości, profesor Sinions wynalazł prosty bardzo przyrząd, zaprowadzony już przez kilka stacyi meteorologicznych.

Jest to czarna tablica, przymocowana na słupkach o dwa metry nad ziemią, na której pomalowane są białe linie w kierunku prostopadłym do ziemi, w równej od siebie odległości, lecz różnej grubości. I tak: jedna linia z lewej strony ma pół milimetra grubości, druga jeden milimetr i t. d. Gdy mgła zaczyna padać, obserwator staje w odległości sześciu metrów od tablicy i notuje pierwszą widzialną linię; porządkowy numer

linii, oznacza stopień gęstości mgły. Przy spostrzeżeniach dokonywanych w nocy, zamiast tablicy używa się pięciu małych blaszanych latarek, które tak są urządzone, że można wsuwać z przodu różnokolorowe szybki. Szybki te stopniowo zabarwione opatrzone są oddzielnemi numerami. W odległości np. dziesięciu metrów, mgła zasłania zupełnie światło przysłonięte najciemniejszą szybką, wsuwa się więc następną i znów patrzy z tego samego oddalenia, powtarzając tę czynność dopokąd nie dostrzeże się światła. Wtedy notuje się numer szybki i otrzymuje stopień gęstości mgły według przyjętej skali.

*** Profesor Herman Seé, wynalazł środek leczniczy uspakajający chorobliwą pulsacyę serca, skuteczniej od naparsnicy, szkodliwie oddziaływającej na organizm. Środkiem tym jest tak śliczna tak cudną woń wydająca konwalia. Wieśniacy rosyjscy oddawna już używają konwalii za lekarstwo na puchlinę wodną, co podało doktorom myśl odbycia doświadczeń. W tym celu spreparowano: 1. Wyciąg wodny z liści konwalii; 2. wyciąg z kwiatów, silniej daleko oddziaływający na człowieka; 3. wreszcie wyciąg z całkowitej rośliny.

Wtryskując pod skórę psa pięć centygramów wyciągu z konwalii, dostrzeżono że puls jego słabnie, oddychanie staje się powolniejszem a zarazem silniejszem. Tenże sam czynnik reguluje bicie serca w człowieku, zwłaszcza jeśli zastawki tego organu są w stanie normalnym; powstrzymuje gwałtowną pulsacyę serca, i może obniżyć jego uderzenia w stosunku 15 do 10. Reguluje także ruch oddychalny. Z liczby 20 chorych dr. Seé wyleczył zupełnie 17 osób — trzem jedynie środek ten nie przyniosł żadnej ulgi.

Uzdrowieni chorzy cierpieli na różne choroby serca, co dowodzi że terapeutyczne zastosowania konwalii są wielce rozmaite. Medycyna użytkowała z nich od dawna ale w innych przypadłościach, obecnie otrzymane z niej wyciągi konwallamarina i majalina oddziaływają wyłącznie na serce, regulując jego bicie.

*** Dwóch angielskich lekarzy Litterwood i Harlau, zrobili spostrzeżenie, iż zęby uczniów wiele pracujących pamięciowo nader szybko się psują, i że po przerwaniu studjów ból zębów ustaje. Zachodzi więc pytanie: czy dzieje się to wskutek spotrzebowania przez mózg substancyi fosforycznej dla zębów przeznaczonej, czy też cały organizm cierpi w skutku wytężonej pracy umysłowej. Chorobliwy stan systemu nerwowego, również wpływa szkodliwie na zęby. Po długich rozprawach zgodzono się, że gdy mózg pochłania dużo substancyi fosforycznych, czy to przez zbyteczną pracę umysłową, czy wskutek choroby mózgu, zęby, zarówno potrzebujące do swego rozwoju tych samych co mózg materyi, muszą koniecznie gorzej się odżywiać, mniej mają środków do rozwinięcia i dlatego wcześniej się psują. Już przed kilkunastu laty czynił spostrzeżenia w tym kierunku dr. Championière i wydał wtedy broszurę, w której radzi pedagogom, aby nie przeciążali zbytecznie uczni ćwiczeniami pamięciowemi, zwłaszcza jeżeli zaczynają się uskarżać na ból zębów.

*** Na ostatniem posiedzeniu paryzkiej Akademii nauk, kilku chemików ze znamienitym Duma-s'em na czele, oglądało z ciekawością szkło złożone z innych części niż dotychczasowe, składające się, jak wiadomo, z krzemionki, piasku, to jest sodu, potażu, wapna, magnezyi i t. d. Szkło, jakiego używamy obecnie, znajduje się już w piramidach egipskich, więc wyrób jego był znany przed Fenicyanami, i dopiero po wiekach tylu nauka wynalazła nowe. Składa się ono z fosforu; soli, wapna i kości. Wynalazł je jeszcze w roku 1877 chemik Sido. Jest ono nadzwyczaj przezroczyste. Ważność praktyczna szkła nowego nie jest jeszcze wiadoma, ale chemii odda niespożyte usługi, służąc do badań kwasu fosfornego, który zjadał szkło zwyczajne, tak, iż chemicy musieli do niego używać retort glinianych, mających znów tę wielką wadę, iż nie są przezroczyste. Szkło zaś fosforowe wybornie nadaje się, jak się przekonano do tych doświadczeń.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubrania spacerowe.

Spódnica z gładkiej jedwabnej materyi, wycięta jest u dołu w szerokie patki, lekko zfałdowane ku górze pod rozetami z materyi, od spodu podgarnirowane plisowaniem oszytem koronką. Spódnicę trzeba krajać dłużej, aby patki po zfałdowaniu sięgały do samego dołu. Stanik bawetowy z głębokim wykrojem, zapełnionym bufkami tiulowemi, draperya bufowana z materyi deseniowej. Kapotka tiulowa zdobna girlandą z róż, związana tiulowemi końcami.

Suknia popelinowa garnirowana koronką. Wolanty na spódnicy dane są naprzemian z szerokiej koronki gładkiej i naszyte kolorową aplikacyą z kretonu. Vêtement przy marszczonym plastronie i na rękawach zdobne także aplikacyą kwiatów. Zapięcie stanowią patki ze wstążki i kokardy. Kapelusz słomkowy opasany wstążką spiętą bukietem kwiatów.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani K. K. w Warszawie. Wierszyk p. t. „Co lepiej”, pomieszczony w N-rze 31 „Tygodnika” i podznaczony literą *E.* nie jest pióra autorki podpisującej się pod utworami swemi Emilia.

P. Jadwidze, autorce wierszyka o przyjaźni Może inny znajdzie się lepszy; bo nadesłany nie ma warunków do publikacyi.

P. L. Wierszyk p. t. „Po deszczu” nie zaleca się przymiotami, aby mógł być ogłoszony. Oprócz formy dobrej, potrzeba koniecznie starać się o świeżość myśli i obrazowania, a tego właśnie w wierszyku tym nie ma. Drugi wierszyk p. t. „Dziwna” jest już lepszy, ale niewiadomo co w nim Autor chciał właściwie powiedzieć. Marki biednej matce oddwno.

Pa. Paulinie B. Opis wypadku zgrozą przejmuje każdego, a litością dla ofiary szaleńca. W każdym razie zbrodnia to straszna, godna potępienia, można nad zabójcą ubolewać, ale bronić niepodobna.

Pani Maryi W. w Ciechocinku. Numer z roku zeszłego wysłano, resztę z rubla, oddano nieszczęśliwej chorej p. O. matce dwojga sierotek, a zostającej bez żadnego funduszu utrzymania.

Panu M. M. w Wilnie. W wierszykach nadesłanych myśli piękne ale układ ich pod względem formy ma wady nie do usunięcia.

Zawiadomienia.

Pragnąc coraz więcej rozwijać działalność opartą na zdobytem już zaufaniu Prenumeratorek Tygodnika Mód i Powieści, Redakcya ma zaszczyt podać do ogólnej wiadomości, że pod swym nadzorem urządziła pracownię wszelkich **ubrań i strojów damskich** nie wyłączając **bielizny** i oddawszy ją pod główny kierunek osoby należycie uzdolnionej, przyjmuje wszelkie obstalunki tak z materyałów jej powierzonych jak i z własnych, wykonywa je według najświeższych wzorów paryzkich, poręczając za staranne wykończenie i uczciwy stosunek z interesantkami.

Adres: Do Redakcyi Tygodnika Mód i Powieści oraz Przyjaciela Dzieci — Widok Nr 3.

Polki wyjeżdżające do Paryża, celem wykształcenia się w obranych przez siebie zawodach, mogą znaleźć u jednej z rodzin polskich w tem mieście mieszkanie ze stołem, usługą i prawdziwie rodzicielską opiekę. Bliższą wiadomość o warunkach nader przystępnych, można powziąć w Warszawie w Redakcyi Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci Widok Nr 3.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою, Варшава 31 Августа 1883 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 37, r. 1883.

PANI TEODORA.

przez

Panią Klementynę Helm.

Przekład z niemieckiego.

przez

K. P.

(Dokończenie.)

Uspokoiła się nakoniec, i ułagodziła się jej boleść światło przeniknęło do jej serca. Skazana nieodwołalnie na ciągłą bezczynność, zaczęła zastanawiać się nad sobą, zadawała sobie pytanie czy rzeczywiście, jak mniemała dotąd, nie miała sobie nic do zarzucenia, czy starała się uprzyjemnić innym życie i była wyrozumiałą na ich ułomności. Ciężkie kalectwo wyrobiło w niej pobłażliwość nieznaną jej w szczęściu, stawała się coraz tkliwszą i wdzięczniejszą za opiekę i troskliwość którą otaczano ją ciągle.

Poznała także wartość wielu rzeczy któremi pogardzała wtenczas gdy prowadziła czynne życie: lubiła gdy jej coś czytano, z przyjemnością słuchała muzyki, i dopytywała się troskliwie czy jej wnuczki będą posiadać talent tak miły i pożądany.

Obecność jej całej rodziny uszczęśliwia panią Gahlen, ale wśród tych osób tak drogich jej sercu, dzieci Fryderyka prawie pierwsze trzymają miejsce. W Hermanie widzi spadkobiercę starodawnego nazwiska Gahlen'ów, a w Zuzi swój własny obraz w młodości, tylko milszy dodawała z łagodnym uśmiechem, bo odziedziczyła wdzięk i powab swej matki.

Niewidoma powitana radosnym okrzykiem, usiadła z rozpromienioną twarzą na swym fotelu, gdzie teraz przepędza większą część czasu, i przyjmowała z rozczuleniem życzenia i podarunki. Słuchała uważnie każdego słowa, a każdą robótkę brała w rękę, i dotykała na wszystkie strony palcami, następnie dzieci Jagusi usadowiły się na jej kolanach, i tak słuchała śpiewu na jej cześć ułożonego. Nie jedna łza spłynęła na jasnowłose główki, ale się uśmiechała, a na jej twarzy osiadł wyraz cichego szczęścia.

Wkrótce do grona rodzinnego przyłączyli się jeszcze sąsiedzi i przyjaciele, aby ponowić zapewnienie swej serdecznej i niezmiennej życzliwości. Najprzód ukazali się państwo Wunderlich z olbrzymiemi bukietami w ręku. Dwadzieścia ubiegłych lat nie zmieniło usposobienia tej zacnej pary. Pani stroi się jak dawniej, i zawsze jest równie dobrą i serdeczną, pan pozostał dobrodusznym i wesołym jak był przed laty.

Wkrótce po nich przybyły nierozłączne panny Wensdorf, starsza zawsze zarozumiała i gadatliwa młodsza odgrywając zawsze rolę młodziuchnej panienki.

A jednak czas bieży i przynosi wielkie zmiany: dowodem tego jest ten wysmukły profesor gimnazyum, syn pani Felsing, który przybył wraz z nią złożyć życzenia solenizantce. Tu wpływ czasu okazał się dobroczynnym, pani Felsing pozbyła się swej cierpkości i niechęci do ludzi, znalazła w dzieciach nagrodę za swą bolesną przeszłość. Nie pozbyła się jednak jednej słabostki: lubi zawsze wspominać o aksamitnym paletocie, zajmującym i teraz honorowe miejsce w jej garderobie. Ale też na co zdałoby się kupować *prawdziwy* aksamit, jeźliby nie był dość trwałym aby kilka pokoleń mogło go podziwiać.

Czas bieży i unosi w swym biegu życie najszlachetniejszych między nami. Pani Hiller zasnęła już dawno snem wiecznym, z żalem wszystkich krewnych, przyjaciół znajomych, których kochała, wspierała swą radą, pocieszała i rozweselała. Syn jej objął miejsce po panu Martin, zmarłym w kilka lat po żonie, którą w krótkim czasie wpędziło do grobu ciężkie zmartwienie z powodu przestępstwa i śmierci zięcia.

Gdy pani Gahlen, rozczulona tylu dowodami szacunku i życzliwości, odeszła do swego pokoju, gdzie wkrótce zdrzemnęła się na fotelu, Zuzanna weszła tam cicho jak myszka, i usiadła na poduszce przy nogach babki.

— Kto tu jest, czy Gryzela? zapytała niewidoma, gdy przebudziwszy się posłyszała szelest papieru.

— Nie, babuniu, to ja Zuzia. Może czego potrzebujesz, lub też życzysz sobie abym czytała głośno?

— Słuchałabym cię z największą chęcią, moje dziecię, gdyby nie to że nie chcę cię pozbawić towarzystwa twych rówienników. Czy słyszysz jak się tam wesoło bawią? Idź do nich, po co masz się nudzić siedząc przy starej babce.

— Nie wypędzaj mnie ztąd, droga babuniu, odpowiedziała Zuzanna całując ją w rękę. Nie nudziłam się tu wcale, ponieważ czytałam coś bardzo ładnego,

— Cóż to było? Przeczytaj i mnie, kochanko jeźli cię to nie męczy.

— Czytałam wiersze, babuniu, a wiem że nie bardzo je lubisz.

— To zależy od tego jakie są wiersze. Nie lubię czułostek i szumnych frazesów, ale słyszałam niedawno wierszyki o drzewku kolendowem, które bardzo mi się podobały.

— Napisane przez Hebel'a, wszak prawda, babuniu? Ja także lubię je bardzo, ale te podobają mi się jeszcze więcej, może dlatego że ułożone przez moją matkę. Zabrałam z sobą ten kajet bez jej wiedzy, bo nie chciała mi go dać, mówiąc że pisała te poezye bardzo już dawno, kiedy jeszcze ani Hermana ani mnie nie było na świecie, że od tego czasu wszystko zmieniło się zupełnie. Wszak ojciec mój był tu kiedyś dyrektorem gimnazyum?

— Tak, moje dziecię, ale bardzo krótko, odpowiedziała pani Gahlen trochę drżącym głosem. Przeczytaj mi które z tych wierszy, Zuziu. Czy nie wiesz kiedy były pisane?

— Wiem babuniu, bo są nad nimi daty.

— A więc, moje dziecię, czytaj mi i daty, rzekła pani Gahlen, głaszcząc złotowłosę główkę wspartą na jej kolanach.

Zuzanna zaczęła czytać swym dźwięcznym głosem wiersze po większej części bardzo krótkie. W każdym z nich czuć było głęboki smutek i gorzkie zniechęcenie malowały wiernie stan umysłu Teodory w pierwszem roku po ślubie. Doszła nakoniec do ostatniej stronicy: „Leć już ptaszku, leć, wracaj do rodzinnego gaju." Potem zamknęła kajet i spojrzała na babkę, po której twarzy spływały dwie łzy wielkie.

— Biedne dziecko! rzekła pani Gahlen, nie umieliśmy jej kochać, zatruwaliśmy jej życie, zrozumiałam to obecnie.

— Co mówisz, babuniu? rzekła Zuzanna wpatrując się z zadziwieniem w twarz babki.

Otworzono drzwi zanim odebrała odpowiedź.

— To rodzice moi przyszli do ciebie babuniu, zawołała. Teraz gdy już masz milsze od mego towarzystwo, pójdę bawić się z innymi.

Uściskała babkę i wybiegła lekko jak motylek.

— Zbliżcie się, moje dzieci, rzekła pani Gahlen wyciągając do nich ręce.

— Czego sobie życzysz, droga matko? zapytał Fryderyk, ściskając je z czułością w swoich.

— Pragnę wywiązać się z długu ciężącego mi od pewnego czasu na sumieniu. Gdzie jest twoja żona?

— Jestem przy tobie, mamo, odpowiedziała trochę niespokojnie, Teodora, gdyż poznała właśnie swój rękopism leżący na krzesełku.

— Podaj mi rękę moja córko, i przebacz starej matce która niegdyś wycisnęła nie jednę gorzką łzę z twych oczu.

— Jakże możesz mówić coś podobnego, droga matko, rzekła Teodora klękając przed niewidomą, i przyciskając do ust jej rękę. Jestem...

— Nie, nie, pozwól mi dokończyć. Teraz dopiero gdy mnie dotknęła ręka Boga, zrozumiałam jak często byłam niewyrozumiałą i niesprawiedliwą. Ale teraz, mój synu rzekła zwracając się do Fryderyka, pragnę, choć może zbyt późno, podziękować ci, że mi dałeś tak szlachetną i dobrą synowę. Niech was Bóg błogosławi, moje dzieci.

Wielkie łzy spływały po jej policzkach gdy przycisnęła do serca, pokrywających jej ręce gorącemi pocałunkami. Najgorętsze życzenie Fryderyka zostało spełnione: jego matka oceniała sprawiedliwie i kochała Teodorę.

KONIEC.

NIEBEZPIECZNE MAŁŻEŃSTWA.

PRZEZ

ANAIS SÉGALAS.

Przekład J. B.

II.

ŻONA POWINNA IŚĆ ZA MĘŻEM.

I.

Było to w lecie 1874 roku.

Mający pić wody, porozjeżdżali się do różnych modnych źródeł, tłumy chorych i zdrowych udawało się do kąpieli morskich.

— Wybrzeża morskie w Dieppe piękny przedstawiały widok, Paryżanki przywdziewały najoryginalniejsze, najkosztowniejsze toalety, składając swe urzędowe odwiedziny j. k. mości Oceanowi. Przybrane suknie rozmaitych kolorów i odcieni, przesuwały się po tarasie tworząc różnobarwną mozajkę, i widocznie, Ocean gniewał się na te zbytkownice, gdy patrząc na nie szemrał i mruczał groźnie.

Tak spacerujący jak siedzący na tarasie przypatrywali się sobie wzajemnie, jak ludzie nie mający nic lepszego do roboty, nad założenie rąk i otwieranie oczu.

— Ach! nie mylę się, odezwał się nagle głos dźwięczny i ucieszony, to pani, kochana margrabino, to ty kochane dziecię!

Słowa te wypowiedział mężczyzna wysokiego wzrostu, mogący mieć lat czterdzieści pięć. Piękną twarz jego, tchnącą szczerością i otwartością, rozjaśniały wielkie ciemne oczy, które nie mając powodu spuszczać się, śmiało patrzyły na ludzi, wyższą wargę ocieniały gęste wąsy, rzadsze daleko włosy przystrzyżone były krótko, jak zazwyczaj noszą je wojskowi. Mówił głośno, z podniesioną głową, widać nawykły do rozkazywania.

Panie do których się zwrócił, były to ciotka i siostrzenica. Obiedwie zdradzały typ arystokratyczny; twarze ich tchnęły dumą i pańskością, nosy burbońskie, ręce patrycyuszek, dostojność ciotki surową powagą odpowiadała jej wiekowi, powagę siostrzenicy łagodził wdzięk młodości. Albina, odznaczała się klasyczną pięknością starożytnego posągu; wysoka, figurka jakby utoczona, miała ogromne czarne włosy i wielkie czarne oczy, w których obok anielskiej czystości, malowała się stanowczość i moc charakteru. W całym wyrazie twarzy widniała prawość i szczerość, wszelkie piękne i szlachetne uczucia; sprzecznie z osobami które mając powody do ukrywania swych wrażeń, kryją serca do kieszeni, ona swoje nosiła na twarzy.

Jenerał de Mornay był dawnym przyjacielem tej rodziny otoczonej powszechnym szacunkiem. Najlżejsza skaza nie kalała honoru ojca Albiny, hrabiego de Ransac, najlżejszy cień nie padał na dobrą sławę jej matki. Margrabina de Vilneux siostra hrabiego, a ciotka Albiny, znaną była ze swych może aż nazbyt surowych zasad i przekonań. Sięgając aż do naddziadów wszyscy odznaczali się równą podniosłością uczuć i szlachetnością postępowania, była to jedna z tych rodzin, w których potomkom przekazuje się nieposzlakowana uczciwość i prawość, jak klejnoty koronne w rodzinach królewskich. To też dom hrabiego de Ransac przezwano *kącikiem uczciwych ludzi*, a przyznać trzeba że nazwa ta dość oryginalna w naszej epoce w której sumienie jest na drodze postępu, rozszerzając się nieustannie jak niektóre ulice miasta.

Albina wychowała się i wzrosła w tym kąciku uczciwych ludzi, w atmosferze czystości, prawości i wielkości duszy, i przyjęła też cnoty i tradycyę rodzinne.

Zostawszy sierotą w piętnastym roku życia, zamieszkała w domu wuja i ciotki, margrabiego i margrabiny de Vilneux. Margrabia był opiekunem Albiny; nie naśladując tylu innych nie tylko nie ciągnął żadnych korzyści z majątku sieroty, wynoszącego 400,000 fr. ale kapitalizował na jej korzyść procenta. Zgodnie z żoną postanowili nie zmieniać nic w więcej niż skromnym utrzymaniu domu, gdyż osobisty ich majątek był bardzo szczupły, w takiem położeniu i wydatki Albiny bardzo były ograniczone, tak więc gdy doszła do pełnoletności, zacny opiekun oddał jej 500,000 fr. Jakby czekając tylko chwili spełnienia przyjętego obowiązku aby mu wolno było świat ten opuścić, zachorował i umarł, gotów zdać Bogu tak wierny rachunek ze swych czynności, jaki zdał sierocie z zażądu jej majątkiem.

Albina pozostała przy margrabinie uważającą ją za córkę, ale pani de Vilneux zachowała w całej ich szorstkości nawyknienia i zwyczaje starej szlachty, wychowywała Albinę wzorowo ale nieco za surowo, nie objawiała swego przywiązania aby nie dopuścić zbytniego spoufalenia, a nadewszystko natchnąć siostrzenicę należnym dla starszych krewnych szacunkiem. Surowa powaga jakby warstewką lodu pokrywała jej prawdziwe macierzyńskie przywiązanie, otwierała swe serce dla ukochanej siostrzenicy, ale nie otwierając swych objęć.

Upłynęło dwa lata od śmierci margrabiego, gdy Albina nakłoniła ciotkę do wyjazdu do Dieppe. Margrabina nie była tam od lat już wielu, to też przeraził ją prawie przepych tarasu i rażący zbytek strojów spacerujących pań. Spostrzegła zgorszona że światowe panie przybywają na wybrzeża morskie aby w falach wód zatopić swój rozum, jak pospulstwo idzie do karczmy aby swój utopić w trunkach.

Jenerał zajął miejsce między ciotką i siostrzenicą i rozmawiał z niemi ze swobodą starego przyjaciela, gdy w tem jedna z przechodzących pań poznała margrabinę, i trochę przez życzliwość trochę aby czemś czas zająć, mówiła długo o radości jaką napawa ją tak niespodziewane spotkanie i usiadła przy niej. Nie znając przybyłej, jenerał zwrócił się do Albiny, prowadząc dalej rozpoczętą rozmowę.

Nadszedł jakiś młody człowiek, spojrzał na Albinę i pozdrowił ją i margrabinę która oddała mu ukłon tak uprzejmy jak mało komu, poczem młodzian poszedł dalej.

— Kto jest ten ładny chłopiec z czarnemi wąsikami? zapytał jenerał Albiny, czy to wasz dobry znajomy?

— A jakże, odpowiedziała śmiejąc się, znamy się doskonale; dziś rano siedział obok mnie przy stole i podał mi krewety.

— No, jeśli aż tak ścisłe łączą was stosunki!.. ale może przyprawił krewety jakiemiś słodkiemi słówkami?

— Nie wyrzekł ani jednego; nie rozmawia się w hotelu; gdyby nie to że przy table d'hôte w sali jadalnej, siedzący otwierają usta, możnaby sądzić że to woskowe figury stół obsiadły. Za trzy franki od osoby, nudzimy się przy śniadaniu, a za pięć fr. przy obiedzie, zbierają się tam usta i zęby, ale nie dowcip i rozumy.

— Jak dawno tu bawi ów sąsiad z krewetami?

— Przyjechał tu wczoraj, mężowskim pociągiem.

— Cóż to się ma znaczyć?

— Oto widzisz, jenerale, wielu mężów są zarazem adwokatami, doktorami, urzędnikami, handlującymi i t. p. otóż wszyscy tacy przyjeżdżają do Dieppe w sobotę aby odwiedzić żony, a w poniedziałek rano wracają do Paryża.

— Doskonale! zawołał jenerał, tym sposobem nie mają czasu nudzić się z sobą — miłość małżeńska jeździ za biletem powrotnym. Więc ten piękny pan jest żonaty?

— Nie wiem tego.

— Ale wiesz przynajmniej jak się nazywa.

— Tak, przypadkiem; słyszałam że służba hotelowa nazywała go księciem d'Ermont (le duc d'Ermont.)

— Piękne nazwisko, odrzekł jenerał, a tytuł jeszcze piękniejszy.

— To też widać podobał się ciotce, gdyż usłyszawszy go, raczyła przyjąć podane jej przez niego rzodkiewki i masło, i nader miłym podziękowała uśmiechem.

— Eh! eh! kto wie co mogłoby z tego wyniknąć, jeżli księżę pan jest kawalerem... rzekł śmiejąc się jenerał. Jest piękny, ma bardzo wymowne oczy, które zabłysły ogniem gdy patrzył na ciebie... Lecz prawdę mówiąc oczy jego niepodobają mi się, ich spojrzenie jest jakieś chytre i jakby ukośne, chociaż patrzą bardzo prosto... Są ludzie mający taki wzrok, wtedy nie oczy ale dusza ich zezuje.

— Ale nie przypatrzył mu się pan jenerał, zawołała żywo Albina: fizyognomia jego zdradza przenikliwość i inteligencyę — założyłabym się że jest dowcipny.

— Oho!.. rzekł jenerał wpatrując jej się w oczy, że nie powiemy w głąb serca. Ale dajmy pokój żartom, nie chodzi już o tego przechodnia — można bardzo zgrabnie podawać krewety a być najnieznośniejszym mężem—ale chciałbym wiedzieć dla czego odmówiłaś już tylu konkurentom, że możnaby utworzyć z nich pluton. Czy nie chcesz pójść za mąż?

— Nie sądź tak, jenerale, zawołała Albina; byłeś najlepszym przyjacielem mego ojca, mogę więc mówić z tobą szczerze.

— Tak sądzę, znam cię przecie od dziecka; ileż to razy poważna panna Albina bawiła się na moich kolanach.

— Tylko, dodała zniżając głos, nie chciałabym żeby ciotka słyszała.

— Nie obawiaj się, rzekł jenerał, czyż nie słyszysz że ma jakby dzwonek przy uszach, ta jakaś pani tak gada i gada, że margrabinę ogłuszyć może.

— A więc powiem ci, jenerale, że to ciotka odmówiła większości moich konkurentów; ci co dość mi się podobali, nie mieli herbów, a w jej przekonaniu jest to warunek niezbędny.

— Czy nie podzielasz tego jej przekonania?

— Był czas że go podzielałam, gdyż wychowano mnie w tych zasadach; ale od chwili gdy przestałam być dzieckiem, wyrobiłam sobie własny sąd o rzeczach i pojęciach. Dziś wymagam jedynie szlachectwa umysłu i serca. Tytuł i herb w mojem przekonaniu o tyle ma znaczenie o ile jest sztandarem rycerskości i honoru; jeżli więc napotkam wielkie, szlachetne serce — nie odrzucę go, choćby brakło mu tego sztandaru. Nie uważałabym sobie za ujmę oddanie ręki nie posiadającemu herbu, ale poniżyłabym się i naruszyła tradycye rodzinne, zaślubiając człowieka którego honor nie byłby nieposzlakowanym.

— Dobrze, kochane dziecię, jesteś godną córką swego ojca. Dość już mamy kobiecin i lalek salonowych—nam kobiet potrzeba! Powiedz czy zrobiłaś już wybór? możesz przecie zwierzyć się swemu staremu przyjacielowi.

— Nie tak znów staremu, jak mówisz, jenerale, odpowiedziała patrząc na piękną jego męzką twarz.

— No, wiem o tem odrzekł prostując się jenerał, że w mundurze, i jak to mówią pod bronią, nie źle się jeszcze trzymam i nie posiwiałem—ale odnośnie do ciebie, moje dziecię jestem starym wiarusem którego nieraz będąc dzieckiem ciągałaś za wąsy. Ty masz lat dwadzieścia dwa, ja czterdzieści pięć, więc mógłbym być twoim ojcem. Opowiedz mi więc swoje tajemnice.

— Wyznam ci więc szczerze, kochany jenerale, że sprzykrzyszyło mi się już życie jakie wiodę w domu ciotki. Pochwaliłeś przed chwilą poważne moje zapatrywanie się na świat i życie, otóż lękam się abyś wysłuchawszy moich zwierzeń, nie uznał mnie za nadto lekkomyślną. Ciotka kocha mnie bardzo (choć więcej to czuję niż widzę) ale jest bardzo surowa i poważna. Ilekroć zdarzy się sposobność jakiejś rozrywki lub zabawy, zawsze mówi mi poważnie: „Młoda panna nie może tańczyć polki ani walca, młoda panna nie może być w tym lub w owym teatrze, na tej czy owej sztuce.” Jeżli chcę odwiedzić którą z moich przyjaciółek, a tak wypadnie że nie ma osoby mogącej mi towarzyszyć, ciotka mówi mi — I słusznie — że młoda panna nie może wychodzić sama. Zostaję tedy w domu, wzdycham smutnie myśląc sobie: „Och! jakże młodą panna zmuszona jest nudzić się śmiertelnie!..” A! gdybyś wiedział zacny przyjacielu, jak umysł mój jest niezależnym! Zwyczaje nasze i konwenanse towarzyskie krępują młode dziewczęta niezliczonemi więzami — są one niby słabe jak nitki pajęcze, a jednak ciężą niemile... Otóż chcę pójść za mąż dla wielu a wielu powodów, bardzo ważnych i bardzo płochych zarazem: abym miała jedną istotę do kochania, mogła poświęcić się komuś bezgranicznie, bywać w teatrze kiedy zechce i wychodzić samej. Od roku jestem pełnoletnią; jeżli więc znajdę człowieka odpowiedniego moim wymaganiom umysłem i sercem, któregobym pokochała, wtedy z całem uszanowaniem dla najlepszej ciotki, oświadczę jednak stanowczo: że kocham go i chcę zostać jego żoną.

W tej chwili owa pani zabawiająca margrabinę, pożegnała się i odeszła; Albina i margrabina wróciły do hotelu gdyż było już późno, a jenerał wszedłszy do kasyna zaczął rozglądać się po salonach.

II.

Wspaniałe kasyno w Dieppe nastręcza eleganckiemu światu wszelkie możebne rozrywki. Jest salon do czytania pism i dzienników, galerya w której odbywają się bale i wieczory tańcujące, koncerta, przedstawienia dramatyczne, — a nakoniec po za tą bardzo długą galeryą, oddzielny salon do gry, w którym zgrywają się i rujnują.

Przeszedłszy galeryę jenerał, wszedł do salonu gry nie jako gracz ale jako widz jak Dante do okręgów piekielnych.

Posępna i milcząca sala gry miała w sobie coś tajemniczego. Białe story pomalowane w zielone girlandy najstaranniej były pozapuszczane, aby nic nie można było dostrzedz z zewnątrz i tajemnice gry mogły być zachowane.

Na lewo od wejścia widać było parę nieszkodliwych stolików do kart, około których grano w wista — na te nikt nie zwracał uwagi, ale na prawo stał fatalny stół do gry w écarté, przy którym walczono biletami bankowemi.

Tłum zakładających się otaczał graczy, mimo to do koła głębokie panowało milczenie. Serca biły gwałtownie ale usta się nie poruszały, tylko pugilaresy straszny z sobą bój staczały.

— Wszak prawda, panie, rzekł jenerał cicho do jednego ze swoich sąsiadów, równie jak on przybyłych tylko dla widzenia, że to milczenie ma w sobie coś ponurego? Patrząc na ten stół gry widzę wyraźnie panią Ruinę zbliżającą się do niego aby pochwycić swe ofiary, a tam, po za oknami, wielki Ocean szumi gotów każdej chwili przyjąć w swe objęcia zrujnowanych graczy.

Przed nimi stał jakiś mężczyzna w czerwonym krawacie, w czarnym surducie, z małemi niespokojnie biegającemi oczami. Stał między zakładającymi się, ale sam się nie zakładał, rozglądał się, patrzył, mrugał oczami; spojrzenie jego biegało od jednego do drugiego gracza — oczy nie miały spokoju jak nogi żyda wiecznego tułacza.

— Niewątpliwie znam te oczy — ale gdzie je widziałem? mówił do siebie jenerał.

— W tejże chwili wszedł do sali gry młodzieniec szczupły, wysmukły, elegancko ubrany, jenerał poznał w nim owego nieznajomego kłaniającego się Albinie, zaczął więc przyglądać mu się ciekawie.

Młody człowiek zajął próżne miejsce przy stole gry, zamieniwszy pierwej kilka słów z dyrektorem kasyna.

— Oh! oh! pomyślał sobie jenerał niece zaniepokojony spojrzeniem jakiem młodzieniec ten orzucił Albinę kłaniając jej się na tarasie, i grzecznościami robionemi jej przy obiedzie — czyżby książe pan był szulerem?

Książe d'Ermont rzucił na stół bilet tysiąc frankowy, co zwróciło na niego uwagę, nastąpiły zakłady — mężczyzna w czerwonym krawacie wytrzeszczył oczy.

— Kto jest ten pan? zapytał jenerała.

— Tyle tylko wiem, że go nazywają księciem d'Ermont, odrzekł jenerał.

— Co! ten jegomość ma być księciem! zawołał ktoś z obecnych, usłyszawszy tę odpowiedź — cóż znowu!.. Poznaję go dobrze, widziałem go w kancelaryi notaryusza u którego jest dependentem.

— Czy być może! zawołał jenerał.

— Dependent notaryusza i ryzykuje na tak wysoką stawkę!.. rzekł człowiek z biegającemi oczami, i twarz jego dziwny przybrała wyraz.

Przyznać trzeba, że pan dependent miał najzupełniejsze prawo do nadawanego mu nazwiska. Wymówione brzmiało pięknie i arystokratycznie, książe d'Ermont, podpisane i czytane, zamieniło się w mieszczańskie Leduc. Otóż przebiegły dependent, do nazwiska swego dodał nazwę wioski z której pochodził, a którą tym sposobem podniósł do godności księztwa — i korzystając z dobrodziejstwa mowy, został księciem dla wszystkich co nie czytali jego podpisu.

Pan Leduc, imieniem Rudolf pochodził z mieszczańskiej ale uczciwej rodziny, posiadającej wyższe ukształcenie, ale fundusze bardzo skromne. Wystarano się o stypedium, dzięki któremu Rudolf mógł pobierać nauki w Paryżu; skończywszy szkoły chodził do uniwersytetu na wydział prawny a zdawszy egzamin został dependentem u pewnego notaryusza. Był czynny, zręczny, obrotny, zadowolniony notaryusz podniósł mu pensyę do dwóch tysięcy franków rocznie.

Wystarczało to na utrzymanie ubogiego dependenta, ale nie dozwalało żyć na pańską skalę—a olśniewała go rozrutność *zdechlaczków*, przepych sportsmenów spać mu nie dawał. Czuł w sobie zachciewki Monte-Christa, czuł że umiałby wydawać pieniądze. Pisząc kopije aktów sprzedaży, własności, darowizn, budował sobie zamki na lodzie, mające przedstawiać posiadane nieruchomości. Codziennie gorąco przyzywał fortunę, śpiewał jej jak w *Białej damie*:

Chodź piękna moja,
Chodź czekam na cię.

Lecz dnie mijały, a fortuna nie dopisywała; jednakże nie tracąc odwagi, oczekiwał ciągle przyjaznej sposobności czy jakiegoś szczęśliwego natchnienia mającego urzeczywistnić złote marzenia jego.

Pewnego dnia notaryusz powierzył mu czek na 10,000 fr. do zrealizowania w banku kredytowym ziemskim; Rudolf podniósł tę sumę i chciał oddać ją wiernie notaryuszowi, lecz w chwili gdy chciał wejść do jego gabinetu, jeden z młodszych dependentów powiedział mu:

— Pan *** wyszedł i dziś już wcale nie przyjdzie.

— Szkoda, odrzekł, potrzebowałem się z nim widzieć... cóż robić... zaczekam do jutra.

— Do jutra! powtórzył młodszy dependent, ależ jutro nikogo nie będzie w kancelaryi, przecież to niedziela.

— A! prawda! zapomniałem.

— Trzeba przecież korzystać ze święta. Jeden z panów kolegów zamierza pojechać do Wersalu, drugi ma wynająć sobie osła aby się udać do Montmorency; co do mnie, gdybym tak był choćby księciem Monako, kupiłbym sobie bilet na pociąg spacerowy do Dippe. Wyjechałbym dziś w sobotę a w poniedziałek rano byłbym już w kancelaryi — na nieszczęście małe fundusze nie pozwalają mi na to.

— Pociąg spacerowy do Dieppe! zawołał Rudolf, i oczy mu się zaiskrzyły.

Być w Dieppe w modnym sezonie, choćby dwa dni tylko żyć życiem *higlifu*, *zgentlemanizować* się, mieć zaszczyt, aby choćby przez te dwie doby tylko uważano go za jednego z tych eleganckich próżniaków, znudzonych i nudnych, zwanych *zdechlaczkami*, cóż za złote marzenie!.. Właśnie tylko co odebrał swoją pensyę miesięczną; czuł pieniądze w kieszeni, głowa pałała żądzą użycia... Pojechał więc do Dieppe, i przybył tam pociągiem sobotnim, zwanym *pociągiem mężowskim*.

Przybywszy ubrał się zaraz w swoje najświetniejsze szaty, przebiegł Kasyno i wszedł do sali gry. Wtedy to przyszła mu myśl szatańska, pokusa piekielna której oprzeć się nie umiał.

Miał w kieszeni pugilares zawierający całe 10,000 fr. swego zwierzchnika — pożyczy więc tylko z nich bilet tysiącfrankowy, postawi na kartę i wygra — jak mu to mówi przeczucie, poczem zwróci niezwłocznie pożyczone tysiąc fr., grać będzie już tylko swoją wygraną i kto wie?.. A jeżli mu szczęście posłuży, posiędzie może spory kapitalik, dozwalający rozpocząć mu jakieś korzystne spekulacye lub obroty finansowe — wtedy z biedaka zostanie panem. Pokusa odzywała się coraz głośniej, czuł na piersiach pugilares z pieniędzmi—i nakoniec postanowił zasiąść do gry.

Opatrzność w postaci jakiegoś pana w czarnym fraku zbliżyła się aby zatrzymać go na brzegu przepaści. Oznajmił on mu że tylko członkom towarzystwa lub mającym do tego upoważnienie wolno jest zasiadać przy stole gry — gdyż tam rzeczywiście wszyscy gracze należą do klubu którego członkom przysługuje zaszczyt możności zrujnowania się lub zbogacenia — ostatnie jednak nader rzadko się zdarza.

— Zrób więc pan podanie, mówił dalej dyrektor, i chciej powiedzieć nam swe nazwisko.

— Leduc d'Ermont, odpowiedział Rudolf.

— Leduc d'Ermont! powtórzył dyrektor skłaniając z uszanowaniem głowę przed mniemanym tytułem. Zrobimy dla księcia wyjątek i przyjmujemy go natychmiast na członka towarzystwa, racz pan pozostać na zajętem miejscu.

I wtenczas to Rudolf drżącą ręką wyjął bilet bankowy z pugilaresa i rzucił go na zielony stolik.

Przez całą partię wstrząsał nim dreszcz przerażenia, śledził zmiany gry z niewypowiedzianym niepokojem. Po raz pierwszy w życiu naruszył cudze powierzone sobie pieniądze!.. jeżli je przegra jakże zdoła wytłomaczyć ubytek tysiąca franków, gdy nazajutrz rano przyjdzie mu oddać pieniądze notaryuszowi—a dopełnienie summy byłoby dlań najzupełniej niemożliwem.

Przeciwnik jego zaznaczył od razu trzy; sina bladość pokryła twarz Rudolfa; drugim razem był szczęśliwy, drżący, niespokojny doszedł do pięciu punktów, stanowiących wygraną.

Wygrał więc pierwszą partyę i zaledwie zdołał powstrzymać okrzyk radości.

— A to dopiero wrażliwy człowiek! rzekł jenerał do jednego ze swych sąsiadów; inni pokrywają twarz marmurową maską on cieszy się otwarcie.

— To nowicyusz, odezwał się jegomość w czerwonym krawacie, znać zaraz iż po raz pierwszy zasiadł do gry i że ta wygrana nader wielkie ma dla niego znaczenie.

Upojony powodzeniem, Rudolf podwoił stawkę.

Niestety! szczęście nie dopisało, przegrał drugą partyę — powierzona summa została naruszoną, powiedział więc sobie że musi brak dopełnić i zapragnął się odegrać — następstwem tego była druga przegrana. Człowiek w czerwonym krawacie stał ciągle za nim, śledząc bacznie wszelkie jego wrażenia.

Ze zwykłą graczom uporczywością którzy wmawiają w siebie że szczęście wróci, że fortuna na chwilkę tylko odwróciła się od nich, Rudolf nie odstępował fatalnego stołu gry przyciągającego go jakby magnes żelazo, i niezadługo przegrał 8,000 fr. tak więc 2,000 już tylko pozostało. Obłęd jakiś go ogarnął; konwulsyjnym ruchem wyjął z pugilaresa ostatnie dwa bilety i rzucił je na stół.

Straszną dlań była ta stanowcza partya! Serce biło mu gwałtownie, głowa płonęła, palce kurczowo się zaciskały. Cała jego dusza ześrodkowała się w spojrzeniu utkwionem w karty mające stanowić o jego losie.

Karty nie szły; przeciwnik jego miał już cztery punkta — jeden rzut miał rozstrzygnąć. Przeciwnik odwrócił króla — przegrał!

Rudolf czuł zawrót głowy; zdawało mu się że ów król treflowy patrzy na niego przedrwiwając; nie była to już malowana figura, ale szatan mówiący doń z piekielnem szyderstwem.

— Sprzedałeś mi duszę twoją, wraz z nią straciłeś spokój, sumienie i honor!

Podniósł się nie wymówiwszy ani słówka, chwiejącym krokiem powlókł się ku drzwiom i wyszedł.

Jegomość w czerwonym krawacie, tak bacznie śledzący każde wrażenie nieszczęśliwego gracza, widząc że wychodzi wziął kapelusz i jednocześnie z nim opuścił salon.

— Najniezawodniej, rzekł jenerał patrząc za odchodzącym, znam gdzieś tę lisią fizyognomię — ale gdzie go mogłem widzieć?..

— Zapewnie chyba nie przy rozdawaniu nagród Montyon'a, odpowiedział mu sąsiad z uśmiechem.

— Aha! przypominam sobie zawołał jenerał, przed trzema laty spotkałem go u wód. Przypatrywałem się grze jako widz, zarówno jak dziś, i zostałem powołany jako świadek przeciw temu oszustowi. Widziałem go siedzącego na ławie oskarżonych w sądzie poprawczym — po udowodnieniu mu oszustwa skazany został na dwa lata więzienia. O! pamiętam to doskonale!

Rudolf wybiegł z Kasyna oszalały rozpaczą i zamiast wrócić do hotelu gdzie stanął, skierował kroki ku morskiemu wybrzeżu. Zdawało mu się że ktoś idzie za nim, pośpieszył więc kroku, lecz wkrótce usłyszał odgłos żwiru i kamyków osuwających się pod stopami goniącego za nim natręta.

Podczas gry noc zapadła — było już po północy; nikomu nie przyszła dzika fantazya przechadzania się po nad morzem o tak późnej porze — Rudolf i idący za nim byli więc zupełnie sami.

— Czego pan chcesz ode mnie? zawołał Rudolf odwracając się nagle; czemu mnie ścigasz?.. Jeźli myślisz obedrzeć mnie z pieniędzy — żal mi żeś się zawiódł tak srodze... nie mam już nic... Idźże sobie zkądeś przyszedł.

Owym idącym za nim był jegomość w czerwonym krawacie; odpowiedział mu spokojnie:

— Nie żądam od ciebie pieniędzy — przeciwnie chcę ci ich dostarczyć.

— Ach! zawołał Rudolf zdziwiony do najwyższego stopnia, a po chwili dodał:

— Nie jestem żebrakiem. Jakiem więc prawem ofiarujesz mi pan swoje pieniądze? za kogóż mnie masz?

— Kochany panie, mam cię po prostu za człowieka nie mającego już ani grosza lub jeźli pan chcesz ani jednego luidora, co na jedno wychodzi. Poszedłem za panem, bo przecie wiem dobrze iż nikt nie bierze morskich kąpieli o północy, jak to uczynić zamierzałeś.

— Zkąd pan możesz to wnosić?

— Po prostu z nieszczęśliwej gry pana. Patrzyłem na to jak przegrałeś dość ładną sumkę, a ze wzruszenia i bladości jego poznałem od razu że zapewnie nie zostało panu w kieszeni nic nad parę marnych sztuk kilkosusowych.

— Panie!..

— Ale, mówił dalej nieznajomy z wyraźnym naciskiem, gdy pieniądz od nas odbiega można go napowrót sprowadzić — wszak po odpływie następuje przypływ morza.

— Tak, jeźli szczęście sprzyja.

— Eh! niekoniecznie; trochę zręczności i sprytu, a można szczęściu dopomódz.

— Znieważasz mnie pan! zawołał Rudolf zapominając że dał dowód bardzo podejrzanej uczciwości. Proponujesz mi pan oszustwo, wygraną za pomocą kart znaczonych.

— Cóż znowu! odrzekł nieznajomy, któżby znów oszukiwał z pomocą tak zużytych środków, skoro przecież są nowsze i doskonalsze... Przypuszczam że nieszczęśliwy gracz przywiedziony jest do rozpaczy, do samobójstwa, gdyż zgrał się do ostatniego grosza... otóż gracz ten spotyka na morskiem wybrzeżu... filantropa — który chcąc ocalić mu życie, pożycza mu tysiąc franków aby mógł powrócić do gry. Tym razem gracz jest szczęśliwszy — wygrywa — stawia znów i znów szczęście mu sprzyja, a tak za pomocą owego tysiąca franków, może w jeden wieczór wygrać 20,000 lub 30,000 franków.

(*D. c. n.*)